

# VariArt



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)

pismo kulturalno-literackie 03/2009



ISSN 2080-1483



Kanonik Mikołaj był wiecznie niewyspany: powinien więcej i dłużej spać – gdyż każdej nocy obserwował niebo – ale szkoda mu było czasu i życia. Był mądry i pracowity, a administrując Olsztynem, grodem dużym i pięknym, z każdym rokiem coraz bardziej pragnął efektywnie spędzać dni, a jednocześnie coraz mocniej rozmarzał się nocami, skoro noce nad Olsztynem są gwiazdźście piękne. To nie Frombork, gdzie z wzrokiem wbitym w nieskończony horyzont zatoki tylko układał w głowie wzory planetarne, to nie Bolonia, gdzie słuchał muzyki, układał poezję i świetnie się bawił... W Olsztynie Mikołaj zdołał pogodzić wreszcie swoje wewnętrzne dążenie ku Absolutowi z wrodzoną energią. Był naprawdę wiecznie niewyspany.

Prowadził bardzo uporządkowany tryb życia: wstawał przed świtem, zmywał pacierze na blankach zamku (przy okazji kontrolował strażników), potem wspólne śniadanie i całodzienne zarządzanie, administrowanie, pisanie, rozsądzanie, spotkanie... Tego krystalicznego poranka wiedział, że coś się stanie – zbudziło go tuż przed wschodem słońca nieludzkie-niezwierzęce wołanie: wysokie, słodkie tony ożywionych instrumentów. Aniołowie to byli – Mikołaj wiedział, że wreszcie zobaczy drugą, prawdziwą stronę żywota ludzkiego! Te głosy!!! Gdy prawie wypadł z pośpiechu przez blankę, ujrzał to, po co się urodził! To były... żurawie. Ale jakieś nieptasie – świadome, zajęte, zaangażowane w rzeczywistość, wdzięczne, śpiewne, zgromadzone... W kilku regularnych kręgach, dziobami do siebie – gdy tylko Mikołaj się pojawił, zastygły przez chwilę i wszystkie jak jeden mąż zwróciły ku niemu głowy. Z ich oczu buchało białe światło. Mikołaj poczuł nieskończone przerażenie. Czas zastygł, a w głowie kanonika wybuchła wizja obrotów ciał niebieskich, wielkich, świętych wielu oczu Boga, z których to niebieskie wcale nie było centralnym!!! Mikołaj krzyknął, a żurawie zaczęły znów śpiewać, i śmiać się, i tańczyć, i wołać, a każdy ich dźwięk był doskonałością. I wtedy wstało słońce. Wszystko zniknęło.

Wszystko minęło. Czy zapadł w sen wtedy o świcie – czy to się działo naprawdę? Myślał o tym szczególnie w ów mglisty poranek, gdy z mgły za północną fosą nagle wyłoniły się dziesiątki, setki, tysiące rycerzy w bieli. Byli piękni i lśniący jak aniołowie z czarnymi krzyżami na płaszczach, kity na ich srebrnych hełmach płynęły w powietrzu. Nawet ich konie spoglądały na strwożonych majestatem olsztynian władczo i spokojne. Zanim wszystko się zaczęło, kanonik Mikołaj myślał, że znów ma objawienie żurawi, że to ich skrzydła wynurzają się z mgieł porannych, że to ich dzioby przecinają powietrzne mleko... Ale to były kopie, piękne kopie artystycznej roboty w rękach obleczonych w stalowe rękawice. Kopernik z wierną służbą obrzucał kamieniami Rycerzy Szpitala Najświętszej Panny – rzucał podobnym gestem, jakim sypałby chleb żurawiom. Hufce zniknęły po wielu dniach, dopiero wtedy, gdy pewnego poranka strażnicy krzyżacy obudzili się nagle otoczeni – cały obóz był otoczony! – ciasnym pierścieniem żurawi. Były brązowosrebrzyste i zupełnie nieruchome, przerażające jak figury świętych na portalach kościołów. Z ich oczu buchało białe światło. Krzyżacy poczuli nieskończone przerażenie. A kanonik znów ujrzał i dopiero zrozumiał obroty ciał niebieskich!!! Żurawie zaczęły znów śpiewać, i śmiać się, i tańczyć, i wołać, i wtedy wstało słońce. Krzyżacy odeszli. □

# FOTOMONTER III SYMFOONIA PTAKÓW



Olsztyńska fontanna „Symfonia ptaków”  
(proj. R. Wachowski) w 1970 r. Fot. Jerzy Waluga.

Wydawca:  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5  
tel. 089 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Redakcja numeru: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walenzik, Anna Rau,  
Anita Romulewicz, Waldemar Tychek  
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sphereoncord.com

Druk: Drukarnia LEO; info@drukarnialeo.com.pl

ISSN 2080-1483

- 02 Fotomonter III
- 04 Wywiad z Wojciechem Borkowskim
- 06 Poezja → Wojciech Hieronimus Borkowski
- 08 Karnawał poezji
- 10 Grupa Literacka „Barcja”
- 12 Proza → Paweł Jaszczuk
- 13 Miniatury → Hanna Brakoniecka
- 14 Proza → Iwona Łazicka-Pawlak
- 15 „Moje-Twoje-Nasze” ‘2009  
Nowy sezon w Filharmonii
- 16 Galeria VariArt-u  
→ Wojciech Jasionowicz
- 18 Wywiad z Katarzyną Enerlich
- 21 Odczarowanie Joanny → recenzja
- 22 O Mazurkach męskim piórem
- 23 Aforyzmy → Kazimierz Brakoniecki
- 24 Cuda dawnych mistrzów
- 26 Ankieteria
- 28 Z Ratzbony do Olsztyna
- 29 Poezja → Arno Holz
- 30 Felieton
- 31 Recenzja muzyczna

*Mimozami jesień się zaczyna, lecz proza życia nas przygniotła – i stan zabytków w regionie przytłacza wagą problemu, smutku, Weltschmerzu... Serca nas bołą, zabytki cierpią, kormorany odleciały. A leje deszcz na aleje. Cóż zrobić. Tylko czytać, bo ręce opadły i powieki opadają, a godzina spóźniona – na ratunek, na odsiecz zabytkom... Czy rzeczywiście? Drużyna zapaleńców ruszyła jednak – VariArt pisze o stowarzyszeniach, akcjach, stronach internetowych, inicjatywach i ciekawych zabytkach. Ze starych książek wychylają się cienie mazurskich kobiet, z powieści dla młodzieży – lato.*

*Batalia o zabytki nie zdominowała jednak numeru – na miłośników twórczości regionalnej czekają fragmenty prozy Agnieszki Kacprzyk, Pawła Jaszczuka, Hanny Brakonieckiej, Iwony Łazickiej-Pawlak oraz poezje Arno Holza, Wojciecha Borkowskiego i Grupy Literackiej „Barcja”. Łamy VariArt-u stały się okazją do spotkania z pisarką Katarzyną Enerlich, pracami Wojciecha Jasionowicza oraz Aleksandra Wołosa. Zapraszamy również do lektury relacji z Przeglądu Wydawnictw Regionalnych, Spotkań Zamkowych i barczewskiego recitalu organowego.*

*Ukoronowaniem lektury z pewnością będą niepublikowane do tej pory aforyzmy Kazimierza Brakonieckiego.*

*Niech jesień będzie (również) kulturalna!*

Redakcja

VariArt  
pismo kulturalno-

# Dyskutując z mitami

rozmowa z Wojciechem Borkowskim, olsztyńskim poetą



## - Urodził się Pan w Iławie. Ale identyfikuje się Pan z Warmią...

Zdecydowanie z Warmią, gdyż w Olsztynie spędziłem większość życia. Nigdy nie mieszkałem w Iławie, to był przypadek, że akurat tam się urodziłem. Pierwszy tydzień życia spędziłem w Suszu, a później całe życie w Olsztynie.

**- Ale jest Pan związany również z innymi miastami regionu i publikuje Pan często w tomikach związanych z konkretnym miejscem, jak np. „Tobie miasto” – to publikacja poświęcona Bartoszycom – „Spacerem po Kętrzynie”, czy „Poezja pięknego miasta” i „Otwarte okno” – tomiki ostródzkie.**

Szczególnie z Ostródą jestem mocno związany, już od roku 1983, kiedy powstało tam Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury ówczesnego województwa olsztyńskiego, dzięki któremu jestem w sensie organizacyjno-artystycznym, no i towarzysko, związany z Ostródą.

**- Ale działał Pan nie tylko w organizacjach artystycznych, bo był Pan również działaczem Związku Zawodowego „Kontra” i wydawał pismo „Ku Niepodległej”.**

Z tym związkiem zawodowym to była zupełnie luźna relacja, która powstała z racji tego, że byłem działaczem KPN-u (Konfederacja Polski Niepodległej – red.), a „Kontra” działała przy KPN-ie. Ja byłem rzecznikiem prasowym KPN-u, no i przy okazji tej „Kontry” znałem jej działaczy.

**- Była tylko działalność *stricte* zawodowa, czy też był Pan w to zaangażowany osobiście?**

To znaczy w roku 1990 zaangażowałem się w to bardzo osobiście, całym sercem i rozumem. KPN wydawała mi się organizacją bardzo przyszłościową. Minął wtedy rok od przemian ustrojowych, zaczęły wychodzić pewne wady, zaczęło już szaleć bezrobocie i stwierdziłem, że nie można stać biernie, trzeba coś robić. A KPN był taką partią, która nie rządziła i nie była „umoczona”, i wydawało mi się, że tu leży przyszłość. Natomiast „Ku Niepodległej” było pomysłem Leszka Ertela i moim. Było to pismo społeczno-kulturalne z elementami literatury. Ukazało się kilka numerów, składaliśmy je bardzo prymitywnymi metodami, większość artykułów była naszego autorstwa, publikowaliśmy w nim również wiersze, choć niekoniecznie własne. Ale potem zasugerowano nam, żeby zaprzestać wydawania tego, bo był tam artykuł na temat antykoncepcji i aborcji, który nie pokrywał się dokładnie z linią KPN-u.

**- A czy wiersze musiały być „społecznie zaangażowane”?**

Nie, takich wymogów nie było.

**- Pytam, bo jak tak czytam Pana wiersze, to trudno Pana określić jako poetę politycznie zaangażowanego...**

To jest racja, bo ja nie czuję się poetą zaangażowanym, a już na pewno nie teraz. Chociaż prof. Chojnowski napisał w swojej publikacji poświęconej literaturze współczesnej Warmii i Mazur („Zmartwychwstały kraj mowy” – red.), że Borkowski jest poetą zaangażowanym.

**- Może właśnie wynikało to z Pańskiej działalności „pozapoetyckiej”? Wciąż się Pan pojawiał z tym kontekście politycznym...**

No – nawet częściej niż w innym kontekście...

**- To może przejdźmy do kontekstu literackiego i Pańskiego debiutanckiego tomiku „Kręci się we mnie...” wydanego właśnie przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Jeden z recenzentów zarzucił mu pesymizm, a nawet, że z Pańskich wierszy bije „olbrzymia dawka pesymizmu, co niepokoi u młodego człowieka” – miał Pan wtedy 24 lata. Czy Pan jest pesymistą?**

Jestem odbierany jako pesymista. Z tym, że ja bym tego tak nie nazwał. Dla mnie wiersz jest zapisem stanu świadomości, a że to jest odbierane jako pesymistyczne... Z drugiej strony można by zapytać: „A z czego tu się cieszyć” – środek lat 80-tych, środkowy Jaruzel, kolejki, kartki itd., szarość, beznadzieja, chociaż muszę powiedzieć, że cieszyło nas wszystko, to, że można było kupić jakąś książkę, gdzieś pojechać. Ale poza tym młody człowiek niekoniecznie musi być radosny, prawda? Nie wiem, skąd się wziął taki stereotyp, że z młodych musi bić radość, energia i entuzjazm. Myślę, że niekoniecznie, przecież młodzi ludzie też mają swoje problemy i to, ich zdaniem, bardzo poważne. I moje problemy ówczesne, emocjonalne, egzystencjalne były dla mnie bardzo poważnymi problemami, pojmowanymi często w kategoriach eschatologicznych, czy apokaliptycznych nawet. Oczywiście, jak teraz patrzę na nie, to były problemiki, a nie problemy. Ale jednak zawsze starałem się odciąć od tego, że ja jestem pesymistyczny w swojej wizji, to nie był programowy dekadentyzm. *Weltschmerz* to nie było moje jedyne doświadczenie.

**- Ciekawi mnie jeszcze coś innego. Jeśli się porówna Pańskie wiersze z arkusza „Kręci się we mnie” z późniejszymi, to nie ma w nich wielu nawiązań literackich, są to raczej impresje wywołane przedmiotami, jak np. w wierszu „Skrzynka pocztowa”, czy zapisy pewnego światopoglądu, czy stanu emocjonalnego. A z biegiem lat Pana teksty coraz bardziej osadzone są w trady-**

cji literackiej, świadomie do niej nawiązują – można tu wspomnieć wiersze z lat 90-tych, choćby te drukowane w „Gazecie Olsztyńskiej”: „Osobisty Nostradamus”, „Aspekt polityczny”, czy „Mój Różewicz”. I w końcu w tomiku ostatnim, „Otwarte okno”, są to bardzo już rozbudowane aluzje do wydarzeń historycznych, postaci, do pewnej tradycji literackiej i nawet do historii regionu. Co było przyczyną tej przemiany?

Sam nie wiem dokładnie, skąd się to wzięło i kiedy się zaczęło. Na pewno pierwsze wiersze pisałem, kiedy byłem człowiekiem młodym, o bardzo skromnym doświadczeniu i ogólnokulturowym i literackim, chociaż oczywiście mniemanie miałem o sobie bardzo wysokie. Niemniej jednak nie czułem się na siłach, by baraszkować w rozległej tradycji literackiej i kulturowej. Był to jeszcze etap zbierania wiedzy.

A w pewnym momencie, gdzieś na przełomie lat 80-tych i 90-tych, zacząłem sobie dyskutować z mitami, najpierw dyskutować, a potem polemizować. A później już jakieś konkretne teksty to był wykwit, powiedzmy, mojej reinterpretacji jakiejś mitologii. I słowo „mitologia” jest tu szeroko pojęte jako podstawa świadomości zbiorowej.

**- I w końcu takie wiersze jak „Napoleon Bonaparte wydaje ostatnie tchnienie”, które odsyłają nas do konkretnej sytuacji historycznej i ją na nowo przetwarzają. Czy to jest zadanie dla odbiorcy, czy tylko prezentacja Pańskiego „widzenia” tej sytuacji?**

Jedno i drugie. Postać Napoleona nie fascynuje mnie specjalnie, ani nie wzbudza mojej sympatii. Wbrew polskiej świadomości narodowej nie jest to dla mnie postać pozytywna. I nie mam do niej sentymentu i nie wybielałem jej, jak to jest częste w polskiej literaturze i historiografii. To była bardzo mętna postać. I tutaj chciałem pokazać kogoś, kto umierając uważa się za bogą, przeklina wręcz Boga i stawia siebie na jego miejscu.

**- Czasem są to bardzo ambitne, czy też wymagające dużej wiedzy nawiązania. Czy nie obawia się Pan, że będzie dla większości niezrozumiały?**

Wielu mi to zarzuca – „hermetyczny”, „niezrozumiały”... Są też zarzuty innego kalibru – „płaska erudycja”, czy „pozorna erudycja – kamufluje braki warsztatowe”. Takie rzeczy słyszę. Niektóre z moich wierszy opatruję nawet przypisami. Ale rzeczywiście do niektórych rzeczy ja jako bibliotekarz lubię się „dogrzebać”, bo są rzeczy czy ludzie zapomniani, niesłusznie, i ja ich wyciągam, przede wszystkim dla siebie, bo oni mi są potrzebni w jakiś sposób. A jeśli ktoś przy okazji coś z tego weźmie dla siebie, to będzie mi bardzo miło.

Ale to można uogólnić na całą moją „pisaninę” – ja nie zakładam sobie jakiegoś odbiorcy, po prostu piszę w przestrzeń, jeśli ktoś to złapie, to świetnie, a jeśli nie, to nie będzie mi wesoło, ale trudno, no, nie złapał.

**- Jeszcze jedno: co Pan robi na slamach poetyckich? Pytam, bo na takich imprezach pojawiają się przede wszystkim ludzie młodzi.**

I o to chodzi.

**- Ale też wiersze, które prezentują, nijak nie mają się do tych, które Pan przedstawia...**

Jestem tam dlatego, bo, po pierwsze, doskonale się na slamach bawię. Jest to dla mnie odskocznia od rzeczywistości i odskocznia od imprez literackich traktowanych superhiperpoważnie. Lubię tych młodych ludzi. Lubię słuchać, co mają do powiedzenia, przecież to oni będą kształtować literaturę. Uważam, że na slamach olsztyńskich występuje bardzo wielu zdolnych ludzi, głównie chodzi mi o tę grupę „Olsztyn Wschodni”, no, tutaj przede wszystkim Michalina Janyszek-Kujawa, no i Michał Krawiel, który, co prawda, uważa się za prozaika, a mi osobiście przypomina młodego Charlesa Bukowskiego. Był jeszcze młody człowiek, który wybył z Olsztyna, Piotr Makowski. Postuchać ich to sama przyjemność. Chociaż nie tylko ich, takich ludzi jest więcej.

**- A czy nie obawia się Pan, że stawia swoje wiersze na straconej pozycji? Może na klasycznym spotkaniu byłyby bardziej docenione?**

Wie Pani, to jest kwestia tego typu – ja nie muszę wygrywać slamu. To nie o to chodzi, żeby wygrywać slamy. Chodzi o to, żeby w nich brać udział. I absolutnie nie czuję się na straconej pozycji. Czasem nawet zdarza mi się wygrać, więc chyba nie jest najgorzej, ale powtarzam, nie o to chodzi.

**- Jest Pan też jednym z niewielu poetów z Pana rocznika, którzy biorą udział w takich imprezach...**

Wie Pani, koleżanki i koledzy z mojego pokolenia, roczniki 60-te tak zwane, rzeczywiście niechętnie biorą udział w slamach. Moja przyjaciółka, Ewa Galoch, zarzeka się, że ona by nigdy... Ale ponieważ ja nigdy nie czułem się człowiekiem młodym *sensu stricto*, to nie czuję się też człowiekiem starym. Sądzę, że mnie wypadła.

**- Czy planuje Pan nowy tomik?**

Planuję, od lat planuję, tylko nie planuję przypiływu gotówki. I to jest problem, bo rynek wydawniczy jest, jaki jest. Ktoś policzył, że w Polsce wydaje się rocznie czternaście tysięcy tomików poetyckich. Czternaście tysięcy tytułów! – z czego zdecydowana większość jest wydawana przez autorów. Są wydawnictwa, które wydają, ale jest ich niewiele i rządzą tam pewne prawa. Oczywiście można wydać za własne pieniądze. Chociaż w pewnym momencie to było w zasięgu moich możliwości, bo kiedy odszedłem ze szkoły, dostałem półroczną odprawę, więc mogłem sobie pozwolić nawet i dwa tomiki wydać. Ale wtedy coś się we mnie zbuntowało i spytałem: „A dlaczego mam za własne pieniądze wydawać?”.

Dochodzi też inna kwestia: z tych czternastu tysięcy tytułów, które wychodzą w Polsce, ile tytułów my znamy, ile tytułów do nas dociera? Do ludzi, którzy znają poezję, lubią poezję – powiedzmy kilkadziesiąt. A teraz następne pytanie: ile z tych ukazujących się tomików przeczytamy? – może kilkanaście. Resztę znamy tylko z recenzji i będziemy je znali tylko z recenzji, ponieważ zawodzi kolportaż. A kolportaż zawodzi, bo książkę poetycką traktuje się jako

towar, tak jak butelkę „Cisowianki”, czy herbatę. A wiadomo, zgodnie z prawem Kopernika, zawsze gorszy pieniądz wyprze lepszy. Tak samo kultura wysoka zostanie wyparta przez pop-kulturę. Więc to jest tworzenie jakiejś tam niszy i zdecydowana większość tomików, które wychodzą, rozprowadzana jest obiegami towarzyskim. Czy, na przykład, część nakładu sponsorował Urząd Miasta, czy Urząd Gminy, czy Starostwo Powiatowe, więc część nakładu jest zatrzymywana przez ten urząd i kiedy przyjeżdżają jakieś delegacje, to rozdaje się te książki jako *souvenir*, z jakimś długopisem i tak dalej. W ogóle nie trafia nawet do księgarń i do czytelników.

**- Rozumiem, że woli Pan prezentować swoje wiersze „pojedynczo” w nadziei, że może bardziej dotrą do odbiorcy?**

Oczywiście. Zresztą kontakt bezpośredni jest zawsze lepszym kontaktem. Przy wydaniu tego arkusza [„Kręci się we mnie” – red.], uszczęśliwiono mnie tysiącem egzemplarzy. I muszę Pani powiedzieć, że ja około piętnastu lat go rozdawałem. Już w pewnym momencie każdemu, kto chciał i nie chciał, i tak dalej. Ale czy o to chodzi? Żeby to wciskać każdemu, kto chce, jeszcze pół biedy, jeśli chce, ale jeśli nie chce, prawda?

**- W latach 2000-ych Pańskie teksty ukazują się w różnych tomikach poświęconych jakiemuś miastu, czy też w tomikach konkursowych.**

To się tak wiąże z konkursami, w których cały czas biorę udział. I jeśli zdobędę jakieś wyróżnienie, czy nagrodę, to moje wiersze są publikowane – stąd też moja obecność w tomikach i antologiach. Ale jeśli mowa o miastach, to jest takie miejsce w Polsce, gdzie czuję się bardzo dobrze, gdzie bardzo chętnie wracam, to jest Inowrocław, i w ogóle Kujawy, jest to miejsce dla mnie bardzo przyjazne i to środowisko tamtejsze. Akurat w tym roku były Inowrocławskie Spotkania Poetyckie, gdzie byłem jurorem w konkursie „Kujawska Lira”, z Arianą Nagórską i Swietlaną Owczarską. Tam też miałem przyjemność prowadzić panel dyskusyjny pod nazwą „Konkursy literackie – inkubator geniuszu, czy wylęgarnia miernot?”.

**- I do jakiego wniosku doszli uczestnicy?**

Wiele było krzyku, no, ale oczywiście konkluzja była taka, że z jednej strony, żeby coś wydać i zaistnieć, trzeba mieć układy, a z drugiej strony, że jak ktoś bardzo chce, to zawsze do swego dojdzie.

**- Jest Pan zatem ciągle czynnym poetą, choć chodzącym „nieoficjalnymi” drogami, na których szuka Pan kontaktu z odbiorcą.**

Tak, chociaż nie zawsze nie wydaję ze swojej niechęci do wydawania. I mimo że są autorzy, którzy, na przykład, tylko w Internecie publikują, a nawet wykształciła się „poezja sieciowa”, która nie może istnieć poza siecią, myślę, że zmiernych Gutenberga nie będzie tak szybko.

**- Dziękuję za rozmowę. □**

Rozmowę prowadziła Sylwia Białecka

## Wojciech Hieronimus Borkowski

### Bez zniewolenia

posłuchaj mnie musisz mnie posłuchać uważaj skup się  
żeby to co powiem nie było niebawem przetłumaczone  
z polskiego na twoje  
moment jest niezbyt odpowiedni żeby o tym ale który  
właściwie jest dobry  
i nie myśl że ja teraz żeby cię dobić skopać leżącą zemścić się  
ten wrzód trzeba było kiedyś przeciąć bo i tak balansujemy na  
granicy uogólnionej sepsy  
mówiąc wprost lepiej wcześniej niż później czy jak tam lepiej  
teraz niż wcale  
wierz mi ta decyzja nie była dla mnie ani łatwa ani przyjemna  
i to nie tylko jeśli chodzi o twój stan teraz i w niedalekiej  
przyszłości  
ale na pewno jest dogłębnie przemyślana wzdłuż i wszerz i jest  
moja tylko moja bez nikogo  
zdziwisz się lecz Ona nie ma z tym nic wspólnego  
nie powiem twoje podejrzenia były słuszne choć dowodów  
prócz domysłów nie miałaś  
Ona naprawdę nic dla mnie nie znaczy ni teraz ni przedtem  
nie sądzisz chyba że mógłbym z nią na poważnie  
po pierwsze jest drugi raz mężatką po drugie to oprócz  
wielkich cycków to nie ma nic  
a po trzecie kto poważnie traktuje laskę która na pierwszej  
kawie pakuje ci łapę do spodni  
tak być może to zwykły cynizm ale cóż świat jako całość jest  
cyniczny  
niewykluczone iż powstał z lodu mówiłem ci kiedyś o teorii  
Hannsa Hörbigera  
albowiem lód to przecież ból i to najgorszy bo bezbolesny a  
myśmy właśnie z bólu  
a ty zawsze mówiłaś że to wszystko jest bardzo poetyckie  
więc niewątpliwie z bólu  
jak poezja co jest bólem samym w sobie i tylko bólem  
od pierwszego otwarcia ust aż do zamknięcia ostatniej książki  
od pierwszego dnia miesiąca do ostatniego jajka w lodówce  
od pierwszych jablek zielonych papierówek do pożegnalnego  
tyku soku z kiszzonej kapusty  
zastanów się przez chwilę może jednak warto rozedrzeć skąpy  
przyodziewek otulić ten głaz  
przenieść punkt ciężkości zaśpiewać intymną surę na część  
stoickiego El Dorado  
b e z z n i e w o l e n i a siedząc nad partią warcabów przy  
zagiętym podziale posłannictwa  
kiedy kilkanaście niecelowych godzin zostaje przenoszonych w  
kolejny wieczór –  
w refrenie znoszonego Fausta piecza nad siostrzanym  
uniesieniem wiedzie na nieżyjące pokuszenie  
jak prywatną kataraktę ociemniałych tylko na chwilę krzesel  
zgaszonego światła



## Allenstein, der Bahnhof, den 21. / 22. Januar im Jahre des Herrn 1945<sup>1</sup>

właśnie wychodzę z olsztyńskiego dworca –  
cztery godziny po północy jest taka sama temperatura jak tamtego zarania  
kiedy zaspane podwoje wyglądały najpewniej jak szron na wąsach ussuryjskich strzelców  
a opancerzone parowozy ziewały niczym warsztat konającego Hefajstosa

*Kavalier* von Nagushevsky zapomina na ławce zamszowych rękawiczek i filcowego kapelusza  
*Oberbürgermeister* Schiedat dopala cygaro za pięć reichsmarek  
*Herr Landrat* Benkmann zaczytuje się w wylęknionym rozkładzie jazdy

zaraz przyjdą obłąkani z Kortau<sup>2</sup> –  
przystanek zamarznętej kawalkady okrywa szpitalnym szlafrokiem zamalowany semafor  
spod którego bezwarunkowo szarpnął ostatni peron wschodniopruskich mgieł  
by zagłuszając dworcowe megafony rozrzucić wokół biały cień odmarszu do Walhalli

na niezastąpionym miejscu ciągle chwytają oddech stalowe perły świętego meritum  
z nietykalnym namaszczeniem wypieczone na twardo w chlebowym piecu Alfreda Kruppa  
aby kategoriycznie przeżyć aż po brzemień pożegnalnej śruby której zapomnieć nie sposób

mijam skrzyżowanie Schubert<sup>3</sup> i Trautzigerstraße<sup>4</sup> –  
śmierdzący niestrawionym spirytusem dżyggit z krwawą dziurą na czole bożej taski  
ciska stężalym półgłosem *Deutsch Soldat ist, was diese Mann* szukając jak szerszeń swej spiżowej sotni  
a lipowe gałęzie syte wyrwanych do korzeni gniazd nieswojo wytrząsają *Mann Sibirien, Mann kaputt*

gdzieś tam za plecami płonący *Bahnhof* elegijnie odjeżdża na dymiących pulmanach kruczej godziny  
w stronę zastawnych bocznich potłuczonych czerepów zgniecionych kirysów i zbutwiałych fotografii  
u progu eremu zarośniętego na ślepo nieczystym popiołem starego mistrza śmierci z Sanssouci



<sup>1</sup> W nocy z 21 na 22 stycznia 1945 roku wojska sowieckie wkroczyły do Allenstein (Olsztyna), tym samym przerywając ciągłość kulturową tego miasta.

<sup>2</sup> Kortau (niem.) – Kortowo, dzielnica Olsztyna (Allenstein) w południowej części miasta; do 21 stycznia 1945 roku mieścił się tutaj Prowincjonalny Zakład Leczniczo-Opiekuńczy dla Psychicznie Chorych (Provinzial Heil- und Pflegeanstalt für Geisteskranke in Kortau); część jego pacjentów zaginęła bez jakiegokolwiek śladu podczas ewakuacji jednym z ostatnich pociągów odjeżdżających z Allenstein do Riesenburga (Prabuty), pozostali w Kortau zostali bestialsko zamordowani przez wkraczających do miasta Sowietów.

<sup>3</sup> Obecnie ulica Reymonta w Olsztynie

<sup>4</sup> Obecnie ulica Zientary-Malewskiej w Olsztynie

## Sylwia Białecka Karnawał poezji

Od 1974 r. na dziedzińcu olsztyńskiego zamku gromadzą się miłośnicy piosenki poetyckiej, by brać udział w wielkim święcie poezji, jakim są Ogólnopolskie Spotkania Zamkowe „Śpiewajmy Poezję”. Tegoroczna, XXXVI edycja festiwalu różniła się jednak znacznie od jego poprzednich odsłon. Tradycyjnemu już konkursowi i koncertowi gwiazd towarzyszył bowiem szereg przedsięwzięć artystycznych, które odmieniły formułę imprezy i rozszerzyły znacznie grono jej odbiorców, a sam festiwal opuścił Olsztyn i część koncertów odbyła się na zamku w Szczytnie.

Spotkania Zamkowe zawdzięczają swoją metamorfozę nowopowstałej Radzie Artystycznej, która postanowiła wzbogacić program festiwalu o nowatorskie propozycje, dostępne szerokiemu gronu odbiorców oraz promujące inne niż piosenka poetycka dziedziny twórczości artystycznej. Jedną z nich było wspólne koncertowanie z „Czerwonym Tulipaniem” na scenie staromiejskiej, podczas którego olsztyniacy i przyjezdni mogli razem ze Stefanem Brzozowskim śpiewać przeboje poezji śpiewanej. Ta skromna, wydawałoby się, impreza, sprawdziła się tak doskonale, że aż zasługuje na kilka specjalnych słów... „Trzydniowa Społeczna Inicjatywa Śpiewana” przerodziła się w fenomen – niejeden artysta bowiem chciałby poszczycić się taką liczbą publiczności, jaka wiernie gromadziła się na olsztyńskim rynku (również w oknach kamienic), aby z kartkami w dłoniach nucić znane i lubiane przeboje. W repertuarze były piosenki m.in. M. Rodowicz, E. Adamiak, S. Krajewskiego, G. Turnaua i oczywiście „Czerwonego Tulipana”. Pelen sukces przy niespecjalnie wybujałych dekoracjach – a przecież niejeden już występ odbył się na scenie staromiejskiej, częstokroć z nadmiernym, zabijającym jakość dźwięku sprzętem nagłaśniającym... Estyma „Czerwonego Tulipana” oczywiście wiele tłumaczy, ale i wybór repertuaru. Oby więcej takich imprez! – klasycznych i kameralnych mimo powszechności...

Inną propozycją była wystawa „Wysocki. Czy pamiętasz jeszcze tamten dom?” zorganizowana w Galerii Stary Ratusz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Ta niezwykle starannie zaaranżowana ekspozycja zmieniła się w prawdziwą Galerię Poetycką, poświęconą osobie i twórczości rosyjskiego barda, Włodzimierza Wysockiego. Wystawie zdjęć i rękopisów towarzyszył trzydniowy performance Wiesława Wachowskiego pt. „Poezja deszczowej rynny” oraz stoisko wydawnicze przygotowane przez Książnicę Polską. Miłośnicy i twórcy poezji mogli również wpisywać swoje ulubione wersy oraz własną twórczość na rozwijanej beli białego materiału – w ten sposób powstała „Kronika poetycka” będąca zapisem inspirujących strof oraz próbek twórczości olsztynian.

Poza galowym koncertem, tradycyjnie odbywającym się na zamkowym dziedzińcu, publiczność zgromadzona w amfiteatrze mogła posłuchać m.in. zespołu „Raz, Dwa, Trzy”, a 2 lipca zorganizowano w Olsztynie slam, czyli pojedynek poetów. W podzamkowym klubie „Sowa” w szranki literackie stanęli mniej i bardziej doświadczeni poeci.



Dzięki Ogólnopolskim Spotkaniom Zamkowym „Śpiewajmy Poezję” stolica Warmii i Mazur na kilka dni staje się poetycką Mekką Polski. Festiwal o charakterze konkursowym z towarzyszącymi mu koncertami znanych wykonawców piosenki poetyckiej co roku przyciąga do Olsztyna miłośników tego trudnego gatunku muzycznego. Cieszy się dużą renomą w kraju i jest ogromną szansą dla młodych wykonawców – wśród laureatów jest wielu uznanych dziś artystów, m.in. Barbara Raduszkiewicz, Janusz Radek i Magdalena Cielecka, dla których zwycięstwo w konkursie częstokroć było początkiem drogi artystycznej. Z biegiem lat, być może w trosce o niekomercyjny, poetycki charakter imprezy, spotkania utraciły jednak kontakt z tzw. „szarym człowiekiem”, zamykając się na zamkowym dziedzińcu. Jako mieszkanka Olsztyna i niezbyt gorący miłośnik poezji śpiewanej mogę powiedzieć, że nie przenikały one do świadomości mieszkańców i turystów. Tegoroczna metamorfoza spotkań pokazała, że poezja nie musi być niedostępna, trudna i przeznaczona dla niewielu, a każdy z nas ma w sobie poetycką strunę, którą warto poruszyć choćby tylko na kilka dni w roku. □



## Agnieszka Kacprzyk

Fragment powieści (jeszcze) bez tytułu

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyjechałaś – Anka objęła Małgorzatę i po raz kolejny ucałowała ją w policzki. – I nawet wybaczam Ci!

- A co chcesz mi wybaczać?

- To, że tak rzadko odwiedzasz swoją siostrę.

Małgorzata przewróciła oczami, ale Anka już tego nie zauważyła. Krzątała się w kuchni, nakrywając do stołu.

- Pewnie jesteś głodna jak wilk, co?

- Nie powiem, zjadłabym coś! A gdzie Twój mąż, siostrzo?

- Wyjechał w delegację. Jesteśmy same – Anka uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Połóż dzieciaki spać, otworzymy wino i będziemy gadać do świtu.

- A może gdzieś wyskoczmy się zabawzić?

- A dzieci? – zapytała Anka i wyraźnie posmutniała.

- Dzieci zawieziemy do babci, a same pójdziemy się rozerwać.

- Mówisz? – Anka nie wyglądała na przekonaną. – Nie byłam w knajpie ze sto lat.

- To czas najwyższy, kuro domowa! – roześmiała się Małgorzata i zasiadła do stołu, na którym pojawiła się waza z parującą pomidorówką. Kiedy weszły do klubu, wewnątrz panował już tłok. Dwóch osilkowatych mężczyzn zagrodziło im drogę. Zapłacili im po 15 złotych w zamian za fluorescencyjną pieczątkę złożoną na nadgarstku. Małgorzata omiotła wzrokiem salę i pociągnęła za rękaw siostrę.

- Usiądźmy przy barze, to najlepsze miejsce!

- Przy barze?! – Anka nachyliła się blisko Małgorzaty, aby przekrzyczeć dudniące echo głośnika. – Nie będziemy głupio wyglądały?

Małgorzata prychnęła, po czym skinęła na barmana.

- Co chcesz? – zapytała Ankę.

- Małe piwo z sokiem.

- Małe piwo z sokiem – powtórzyła Małgorzata. – I gin z tonikiem.

Podsunięła popielniczkę i podpałiła sobie papierosa. Zaciągnęła się dymem i uśmiechnęła do siostry:

- Cieszę się, że mamy dla siebie chwilę. Mów, co u Ciebie.

Anka odwzajemniła uśmiech i nieco zmieszana rzekła:

- Co u mnie, co u mnie, to Ty się obracasz w wielkim świecie.

- Daj spokój!

- Ja albo sprzątam, albo piorę, albo gotuję, albo jeżdżę po lekarzach. Taka tam zwykła praca na dwóch etatach: żony i matki.

- A mążuś gdzie w tym wszystkim?

- Nie zaczynaj, proszę – Anka niecierpliwie odgarnęła włosy, a Małgorzata pomyślała, że przydałby się jej fryzjer. – Mamy kredyt, Marek dużo pracuje, wyjeżdża w delegację.

- Nie bywasz o niego zazdrosna? Te ciągle rozjazdy, hotele, spotkania.

- Gośka! – Anki brwi zjechały się w grymasie pełnym zadziwienia. – To ja jestem matką jego dzieci, a nie żadna inna.

- Masz rację, przepraszam – Małgorzata ucięła dyskusję i odwróciła się bokiem do parkietu, aby móc obserwować gości lokalu.

Nie minął kwadrans, a podszedł do nich mężczyzna i omiatając wzrokiem ich talie i biusty zagadnął wesolo:

- Co takie dwie piękne panie robią same w nocnym klubie?

- Czekają na księcia z bajki – odpowiedziała Małgorzata.

- Oto i on – facet, wyraźnie podchmielony, przysunął się do Małgorzaty i objął ją w pasie.

- Gdzie z tymi łapami?! – Małgorzata strzepnęła jego dłoń jak natrętą muchę.

- A czemu się tak, lala, denerwujesz? – w jednej sekundzie mężczyźnie odkleił się hollywoodzki uśmiech. – Wolisz dziewczynki?

- Słuchaj, gościu – Małgorzata zeskoczyła z barowego stolika i stanęła twarzą w twarz z natrętym. – Spadaj stąd, bo wezwę ochronę.

- Nie ma takiej potrzeby – inny mężczyzna położył rękę na jej ramieniu i wymownie spojrzeniem wyprosił natrętą. – Panie chcą porozmawiać, prawda?

Natręt ulotnił się w mgnieniu oka, a wybawca wrócił do swojego stolika, zabierając ze sobą delikatny zapach dobrej wody toaletowej. Od tej pory nie spuszczał wzroku z Małgorzaty. Od tej pory Małgorzata przestała słuchać opowieści siostry. Znając zasady podtrzymywania konwersacji, potakiwała jej machinalnie, kiedy Anka mówiła o wakacyjnych planach, prywatnym przedszkolu synka, szczeniach, remoncie kuchni, powrocie do pracy i leasingu na nowe auto.

\*\*\*

- Lolu.

- Tak, profesorze?

- Zostań, proszę, po lekcji, chciałbym omówić z tobą ostatni sprawdzian – powiedział profesor, a Lola skinęła głową. Mieli dziś luźną lekcję, bo tematem były sceny miłosne w „Panu Tadeuszu”. Profesor mimo przekroczonej czterdziestki uchodził za nowoczesnego i tak też chciał być postrzegany. Pozwalał im wykraczać poza ramy eposu, a także snuć domysły na temat relacji łączących bohaterów, na koniec zaś zadał im napisanie własnej sceny miłosnej. Niekoniecznie rymem i trzynastozgłoskowcem.

- Napiszcie coś współczesnego – polecił. – Chciałbym poznać wasz punkt widzenia, wasze emocje i waszą wyobraźnię. Tak! Dajcie ponieść się wyobraźni! – zakrzyknął, zatarł ręce i opadł na krzesło, przesuając błędnym wzrokiem po odsłoniętych nogach uczennic z pierwszej ławki. Wreszcie odetchnął, zapatrzył się w dal rozpostartą za brudną szybą i tak pozostał. Lola niecierpliwie zerknęła na zegarek.

Wreszcie zadzwonił dzwonek. Młodzież niczym psy Pawłowa, zareagowała prawidłowo. Porwała swoje plecaki, teczki oraz torby i szturmem wybiegła z klasy, przepychając się w wąskim przejściu. W wąskim gardle ku wolności trwającej kwadrans. Nadeszła bowiem tak zwana długa przerwa.

- Lolu, jesteś niebywale zdolną uczennicą – zaczął profesor, a Lola w odpowiedzi tylko dygnęła.

- Zastanawiam się, czy nie chciałabyś wystartować w olimpiadzie polonistycznej. Ale to – tu profesor zdecydowanym gestem nakazał Loli milczenie, bo właśnie otworzyła usta, aby coś powiedzieć – to, droga Lolu, wymaga dużo pracy. Pytanie zatem jest inne: czy jesteś gotowa, aby poświęcić się ojczystemu językowi, czy możesz wyrzec się młodzieńczych rozrywek, pogaduszek z koleżankami i innych przyjemności właściwych dla Twojego wieku na rzecz rozwoju swojej wiedzy i rozwoju lingwistycznych umiejętności.

- Jestem gotowa! – wypaliła Lola szczerze i pewnie. Tak szczerze, jakby brała udział w uroczystym zaprzysiężeniu albo przynajmniej składała obietnicę zucha.

- Zuch dziewczyna! – ucieszył się nauczyciel i poklepał ją serdecznie po plecach. Pod palcami wyczuł, że Lola nosiła już biustonosz. – A teraz zmykaj na przerwę!

Lola podeszła po ławki, podniosła swój plecak i pośpiesznie wyszła z sali.

- Co chciała? Co chciała? – koleżanki czuwające pod drzwiami klasy obskoczyły ją ciasno.

- Miał kilka uwag do ostatniej klasówki – rzekła Lola dyplomatycznie. – Kto idzie na papierosa?

Za Lolą pociągnął się sznurek jej wielbiciel, które zapatrzone w swoją piękną i bardziej dorosłą koleżankę poszłyby za nią w ogień. Tym razem jednak wystarczyło udać się za garaż. Tam zbierała się śmietanka towarzyska elitarnego liceum. Nie bywać za garażami równało się z nieistnieniem jako takim. Garaże były trampoliną do zawierania nowych znajomości, znajdowania chłopaków, zdobywania szacunku i uznania. Lola takowym się cieszyła. Jako stała bywalczyni, a do tego młoda i piękna.

Ściągała spojrzenia nawet tych ze starszych klas, którzy rzadko oglądali się na niższe roczniki: maturzyści zawieszali na niej tęskne spojrzenia, a ich koleżanki zabijały ją wzrokiem. Natomiast Lola zaciągała się głęboko cienkim papierosem drogiej marki adresowanej do kobiet *glamour*, wolno wydmuchiwała dym, ćwicząc formowanie równych kólek i od czasu do czasu odpowiadała na szczerbiot swoich klasowych koleżanek omawiających nową linię błyszczaków Miss Sporty, które weszły właśnie do drogerii.

- Sam błyszczak nie wystarczy, żeby błyszczeć – rzuciła błyskotliwie i przydeptała niedopałek.



# O śmierci, wyciągnij rękę, zważ na mą mękę, pójdź

Anna Rau

Don Juan de Marco, charyzmatyczna – tytułowa – postać ze zjawiskowego filmu Jeremego Levena, wcale nie był zwyczajnym bawidamkiem, marnym amatorem ciał niewieścich, hazardzistą w ruletce zdradzo-nych mężów... Choć szalony, był też mądrzejszy i bardziej prawy od niejednego – „Są tylko trzy kwestie na świecie – twierdził – którym warto poświęcić życie: czym jest miłość? czy Bóg istnieje?, czy jest życie po śmierci? Cała reszta jest nieistotna”. Miłość, Bóg, śmierć – tak, zaprawdę tak. A której z nich poświęcić życie i umysł? Don Juan – to jasne – wybrał miłość, są tacy, którzy zgłębiają Boga, istnieją wbrew pozorom także ci, co bezustannie mają w pamięci jedyny pewny element życia każdego człowieka – śmierć. Miłość, Bóg, śmierć – oto też motywy wiodące almanachu jubileuszowego Bartoszyckiej Grupy Literackiej „Barcja”, a na ich czele stoi Śmierć...

Skąd triumf tego, co martwe, w poezji Barcjan? Grupa wszak wydała omawianą księgę jubileuszową na swoje 25-lecie – to okazja do radości – skąd więc w ich tekstach, powtarzam, tyle smutku, przemijania, kruszących się i butwiejących liści?... Gorzkie są ich wersy, a jednak dzięki nim czytelnik nagle zaczyna wyjątkowo intensywnie odczuwać istnienie. Dobrze jest czytać o śmierci – to istota życia, jego sól... Niejeden powie: „Istotą życia jest miłość!” i po dwakroć ma rację, lecz skoro od wieków każde zapamiętanie się w miłości zwano „małą śmiercią”, czyż logicznym nie jest, że to ta druga ważniejszą w życiu człowieka? Ktoś inny powie: „Istotą życia jest Absolut!”. I to po stokroć prawda, ale skoro śmierć jest metafizyczną bramą... Ilek tu śmierci... Zbiorowy bohater wypowiadający się w wierszach tomiku, głos, który w jednym utworze jest rodzaju żeńskiego, w innym – męskiego, wydaje się niezwykle podobny do biblijnego Hioba. Wersy z utworu J. Bachara „Dni tak szybko mijają / liczydło nie nadąza” to jakby wprost wzięta ze starotestamentowej księgi błogosławionego cierpienika modyfikacja cytatu „Dni mijają jak tkackie czoienko”. Padają pytania do Boga o datę rzeczy ostatnich w życiu, o ilość czasu do końca, o łaskę ukończenia wszystkiego. Podmiot wierszy najbardziej chyba pragnie tego, aby owa ostatnia czynność, jakkolwiek by nie była, stała się godna swojej ostateczności, doskonała i pełna znaczenia: „Ile jeszcze razy / pozwolisz mi Panie / i kiedy / zadam ostatnie pytanie” (J. Bachar). Nie ma w nim ani cienia buntu, ani drobin słabości, gdyż uznaje, że jest taki,

jak być powinien. Snuje stoicki (lub może pełen rezygnacji?) wywód swoistej filozofii podsumowania: „Nie wiem co w tym życiu / Jest i było ważniejsze / Czy twoja żmudna i ciężka praca / Czy moje nikomu niepotrzebne wiersze” (I. Baczevska), zna też swoją kondycję i miejsce w uniwersum – „Pyłkiem jesteśmy w świecie” (J.J. Rojek), „tyle tego / co grudka ziemi / którą stwórca zamienił w człowieka / tyle / co uschłe drzewo z którego czas / wyszał życie / A przecież nie chcę być uschłym drzewem” (H. Uglik). Głos nie chce, lecz będzie takim drzewem: „schnięcie” przecież to starzenie się ciała – wstęp do śmierci. Wiersze w prostych słowach nawet ukazują pierwsze oznaki starzenia: „Mój świat się kurczy / o pierwsze zmarszczki obwisły biust / drżące porankiem bez ciebie dłonie” (I. Baczevska). Jednak fizyczna starość, to „uwięzienie w czasie” (E. Bucala), nie straszy: jest oswojona, przyjęta i naturalna – „Nie bój się lustra / gdy zmarszczek przybywa / (...) Więc się uśmiechaj / Na przekór przeszkomod / jesteś szczęściarzem / już nie umrzysz młodo” (T. Bratek). Śmierć coraz bliżej czytelnika... – nie został mu oszczędzony dosłowny opis agonii. W wierszu „Ostatnia modlitwa” dedykowanym śp. Cecylii Barszcz czytamy: „przewodnik zabierał Cię / na drugą stronę – / Styks / Do drugiego Hadesu / Rozpaczliwie chwytając życie / Chciałaś patrzeć – / jeszcze raz jeszcze trochę / Jeszcze trochę / Jeszcze ostatkiem sił / A światło gasto (...) / Dłonie jaśniały / Oczy gasty – / zasnął” (T. Barszcz). To bardzo poruszająca wizja: dramatyczny obraz walki o oddech i późniejszych zmian w ciele umierającej oraz utożsamienie całego świata z odchodzącą: „Czułam ból duszy / Rozpacz pożegnania” (T. Barszcz]), „zgodniałe oczy wytopiły myś” i tylko „jeszcze się tuł / liście do ziemi” (H. Uglik). Jaka jest więc rzeczywistość w tomiku „Barcji”? Śmiertelna! – wszystko o śmierci przypomina, wszystko ją głosi: „Nie wiadomo kogo oplakuje – / Krzykiem wiatru / rozmokła w deszczu / Klepsydra / (...) Był ktoś” (T. Barszcz). Drobnostki nawet, małe dotyki fatum zabijają skrawki koloru i beztro-ski – „Przypadkowy przechodzień / rozdeptał / martwego motyla” (R. Koniuszy), wiatr sytuje się z drzewami (jak opisał J. Bachar), „mróz kuje domy / kręci batem” (R. Moszoro), „ziemia jest zroszona krwią wielu / (...) nad mogiłami wiatr szumi żałośnie / prosi o modlitwę” (R. Moszoro). Nie jest to świat, który obserwuje się z przyjemnością – raczej się przezeń pędzi, bieży w skuleniu, aby dobić do bezpiecznej przystani. Czy jest nią własny dom – enklawa spokoju, czy niezawodne

ramiona ukochanej osoby? Barcjańscy poeci piszą przecież o miłości – miłości, co podkreślają, śmiertelnych, miłości skończonej mimo nieskończoności miłości... Ma ona stygmat skończenia, kresu, nieuchronności cienia: „Serce przy sercu i pierś przy piersi, / Przejść po lawinie i nad zagładą / Pospołu z życiem, na przekór śmierci” (R. Moszoro), „a tak daleko od burty do burty / byś był moim kapitanem / Nim nas błękitne w głąb pociągną nurty” (M. Marczak). Nawet spazm „bardzo fizyczny” porównano do „ofiary jastrzębia / dopadniętej znienacka / w swoim locie / je-siennym” (U. Drogomir). Miłość więc splata się ze śmiercią, namiętność porównywana jest do bólu.

Barcjanie opisują rozmaite śmierci – bardzo konkretne („Człowieku / idąc na wojnę / zabierz ze sobą krzyż / (...) na wypadek gdy zginięsz / (...) bo ci co powinni ginąć / wychodzą cało (...) i gdzie tu sprawiedliwość / żołnierzu / poległy w Iraku” [J. Salata]) oraz nietypowe, jak metaforyczne samobójstwo wykreowanego siebie („biorę w garść / ciepły jeszcze popiół / i pochylam głowę / w pokorny smutek // stworzyłam siebie / znów się porzucam” [U. Drogomir]). Sprawiedliwie doświadczą odejścia również ci, których uznaje się za bardziej uprzywilejowanych: utalentowani, twórczy, bogaci i sławni. W tomiku wspomina się kilku Wielkich i Ważnych, jednak opisano ich również w kontekście śmierci. J.J. Rojek adresuje do ks. Jana Twardowskiego swoje „Trzy sonety pamięci...”, a zawiera w nich m.in. opis nieba, które będzie po życiu, „aby się nigdy nie mogli obsunąć / W bezdenną nicotę po ziemskiej wolności”. W innym utworze opisuje z kolei pielgrzymkę do Rzymu – ale i tak skupia się na centrum: grobie Jana Pawła II, „grobie najdroższym”. Wspomina nie tyle życie wielkiego Polaka, ale jego pogrzeb, sławną scenę z zamknięciem się ewangeliarza na trumnie papieża i fakt, że to jego śmierć otwiera – nie zamyka – Nową Erę. M. Kujawski w „Nagrobku Rafała Wojaczka” sięgając po motyw śmierci czerpie z tradycji antycznej: „Prowincja (...) umiera cicho / Tobie tylko z desek wyjsz / by w zaułkach Tartaru / dogoniły jej kości”.

Almanach zawiera również dłuższe-krótsze teksty prozatorskie, w większości lżejsze w tonacji, część wręcz żartobliwych – które w przeciwieństwie do uniwersalnej w wymowie poezji poruszają tematykę Małej Ojczyzny „Barcji”, są autentycznie „regionalne”. Te poważniejsze teksty to opowiadania stylizowane na legendy, jak choćby „Duchy Lidzbarskiej Bramy” T. Bratek (znów ta

śmierć!). Bohaterowie opowiadania, bocianie duchy i białobrody Duch Opiekuńczy, są sympatyczne – to jedna z historii, jakie pamiętam z dzieciństwa: ciepłe ze „strasznych” zakończeniem. Kolejna z autorek, U. Drogomir, pozwala dorosnąć dziecięcej legendzie, gdyż bohaterom jej „Drogi z krańca mapy” są już znane wyrażenia „wysiedlenie”, „poczucie przynależności”, „nostalgia” i „frustracja”. Stopniowo – romantyzm dzieciństwa zmienia się w pozytywizm życia codziennego: „Węglarze” J. Górczyńskiego więc to realia XXI wieku – są w tym tekście i mężczyźni, którzy stracili pracę, i kłótlive, hałaśliwe żony, małe, brudne interesiki i morze wódki. Później „Moje ZOO” P. Monkiewicza z gromadą szalonych przyrodników, ekologów i charyzmatycznych zwierząt – trochę fantastyki, trochę nonsensu, wiele zabawy. R. Koniusz z kolei sięga do starych dobrych wzorców Bułhakowa („Psie serce”), a trochę do „Jestem kotem” Sōseki – co prawda wiele już książek z motywem metamorfozy futerkowej głównego bohatera powstało, ale sposób narracji i widzenia świata Koniusza jako żywo odzwierciedla wspomniane dwa utwory. Dąsałski, filozoficzny konserwator w klinice, czyli główny bohater drugiego z opowiadań Koniusza, mógłby śmiało podać rękę postaciom Gogola. To bynajmniej nieprzesadzone porównania: mini-utwory Barcjana rzeczywiście stanowią purnonsensowe perełki. Jan Orlicki prezentuje w almanachu trzy prozaicy, które można by nazwać zbeletryzowaną publicystyką interwencyjną: to proza monologowa, niby lekka, lecz w tonacji dość poważna. Całość części prozatorskiej wieńczy dłuższy fragment L. Turkowskiego, wyjątek z „Księgi Warmii i Mazur” – rzecz wspomnieniowa. Czytelnik dzięki tej relacji poznaje utamek biografii kilkorga osobistości z olsztyńskiego środowiska literackiego lat 50-tych XX wieku – materiał ma charakter autobiograficzny i jest bardzo ważny pod względem faktograficznym.

Trzeba jednak wspomnieć (wypomnieć?), iż mimo licznych przemyśleń nad zjawiskami uniwersalnymi jak Miłość, Bóg i Śmierć antologia w ogóle nie pozwala czytelnikowi zaprzyjaźnić się z Bartoszykami, ba – nawet je poznać! Stowarzyszeni zamieszczają bowiem w swojej księdze zadziwiająco mało tekstów o tematyce związanej z miejscem rodzinnym. Nazwa miasta pojawia się w tomiku zaledwie trzy razy, a opis sytuacji obyczajowych – jakby nie chcieli zarejestrować rzeczywistości, lecz zapisując swoje lęki zmierzali słowem ku nieskończoności. Całość części prozatorskiej podsumować można zdaniem, iż to jednak nie epika stanowi atut książki, a poezja...

„25-lecie Stowarzyszenia >Barcja<” to drobiazgowa kronika lat 1983-2008: działań, do-

konań, westchnień i nagród, kalendarium wystąpień, wyjazdów i publikacji. Piękny szmat czasu i historii zrzeszonych kilkadziesiątorga ludzi z Bartoszyce, którzy niejednym się mogą pochwalić. Zainteresowani rozwojem grupy literackiej mogą dzięki tomikowi prześledzić jej rozwój od genezy – pierwszego spotkania w 1983 r., przez stopniowo zmieniające się w sposób twórczy spotkania poetyckie, pierwsze publikacje czasopiśmiennicze oraz nagrody literackie. Opisujemy almanach więc to kalendarium-kronika i bibliografia w jednym – drobiazgowa, solidna robota: chronologiczna rejestracja prac, wzmianek prasowych, obchodów, publikacji, nagród, przewodzek i zmian składów osobowych. Część biograficzna przedstawia skrócone noty Barcjana... – dlaczego myśl ucieka od nich: Jana Bachara, Izabeli Baczewskiej, Teresy Barszcz, Teresy Bratek, Ewy Buczały, Urszuli Drogomir, Jerzego Górczyńskiego, Roberta Koniuszego, Zygmunta Kornowskiego, Mirosława Kujawskiego, Justyny Ławrynkiewicz, Wiesława Mańko, Marty Marczak, Arkadiusza Monkiewicza, Piotra Monkiewicza, Romualda Moszoro, Jana Orlickiego, Józefa Jacka Rojka, Jerzego Sałaty, Leonarda Turkowskiego, Haliny Uglik, Celiny Wiszniewskiej – ku Niej... Ku Niemu może – bo ilu ludzi, tyle twarzy ma Śmierć... Znów pojawia się jako westchnienie, jako choćby podsumowanie pewnego etapu, zjawiska, uczucia. Jesienna jest kronika „Barcji” i bardzo melancholijna – to księga istot śmiertelnych, które tak świadomie podejmują wszystkie czynności, gdyż wiedzą, że wszystko ma swój kres. Tomik dojrzałych, wręcz zmęczonych życiem, gdyż tacy podsumowują i podkreślają to, co było. „Płacę za młodością / która już nie wróci / płacę za beztróską / którą życie zabrało / płacę za marzeniami / których spełniło się tak mało. / Tak mi brak czasu minionego, / brak mi co było – brak mi wszystkiego” (J. Bachar). Oto skargi człowieka świadomego swojej skończoności i przemijalności... Nie ma pewności – „zachodzę w głowę / czym ja dzisiejszy, / czy może już wieczny”.

Do czego tęskni umierający – już nie człowiek, a zmarły – jak ukoji już nie śmiertelne, ale nieistniejące zmysły? Powrotem? A może jednak przekornie przystanią uspokojenia będą prawie pominięte w tomiku, zmetaforyzowane Bartoszyce?: „w Barcji kraina / gdzie zieleń w błękit wtopiona / srebrzysta wije się Łyna / Pejzaże dzieciństwa znajome / Odpocznij w biegu przez życie / (...) Masz przecież Bartoszyce / i swoje ścieżki młodości. (...) tu twoja przyszłość cię woła/ chociaż minęły lata. / Niech wrócą chwile magiczne” (C. Wiszniewska). □

## Izabela Baczewska

### Zza okna

jest ciemno  
zawodzący za oknem  
wiatr liczy paciorki  
jesiennej jarzębiny  
tajemnica obok tajemnicy  
rózaniec nocy  
taką modlitwa  
tylko dla samotnych  
utonęłabym  
w szklanym jeziorze  
gdybym miała dość sił  
aby się przedostać  
bez mostu  
na drugą stronę  
szyby

### Jan Bachar

### Moje trwanie

dni tak szybko mijają  
liczydło nie nadąża  
jeszcze wczoraj była wiosna  
dzisiaj za oknem  
jesień już się spręża  
Patrzę w niebo nieogarnione  
szukam gwiazd ostatecznych  
w głowę zachodzę  
czym ja dzisiejszy  
czy może już wieczny  
Usta nieme zamknięte  
Na cztery strony świata  
Może za oknem jest jesień  
Ale ja jestem w środku lata

### Mirosław Kujawski

### Moja prowincja

*Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno*

Twoje te rozjazdy bezdomne  
do stacji Niczyja i dalej w stolicy  
Poezja różą – mówisz  
a tu Prowincja szarpie jej czerwień  
rozdiera na strzępy biały wiersz

### Umiera cicho

Tobie tylko z desek wyjść  
by w zaułkach Tartaru  
dogoniły jej kości



# Paweł Jaszczuk Ochronka Anioła Stróża

(fragment przygotowywanej do druku powieści)

K. zadowolony z siebie dalej przewracał kartki, by natknąć się w zeszytiku na kolejny smaczek:

„Pewnego popołudnia Szarlotta Guardian, córka profesora, zabrała mnie do swego królestwa, by przypomnieć mi, że nie jestem jej bratem. Jej genialna kryjówka mieściła się pod sceną szkolnej auli i żeby się do niej dostać, należało niepostrzeżenie przemknąć się przez kotłownię, a potem bocznymi schodami wejść na wysoki parter i stamtąd pustymi korytarzami dojść na drugie piętro szkoły pod drzwi, do których miała dorobiony wytrych. (...)

W półmroku, w ciepłe bijącym od zakurzonych kaloryferów, Szarlotta częstowała mnie sucharkami ze skórek chleba, które wieszala w płóciennym worku przy okrągłym oknie z widokiem na stację kolejową i poniemieckie koszary, a kiedy miała humor, wyciągała spod desek, ze skrytki suflera, stary anatomiczny atlas i rozkładała ryciny, tak jak się otwiera kościelny ołtarz, lecz zamiast Matki Bożej widać było czerwoną wątrobę, a zamiast Jezuska jaśniała w nim ślepa kiszka, żołądek i serce, zaś na innych kolorowych kartach Szarlotta pokazywała mi odarte ze skóry mięśnie i przekrojony męski penis, z którego podśmiewała się, nie mogąc uwierzyć, że jej kochany tatuś spłodził ją z tej cherlawej armatki, a kiedy zabierała mnie ze sobą pod scenę, powtarzała z powagą, że zawsze może mnie wydać, bo jestem bękartem i nie mam prawdziwego imienia i nazwiska, tylko durne przezwisko – „Szczurek”, więc mam być jej posłuszny, ile razy zechce, kiedy będzie mnie rozbierać i dotykać przyrodzenia, bawiąc się w lekarza i rozkazując, bym także ją dotknął i dmuchał w sutki, udając wiatr na brzegu jeziora, gdy rozchyła jej sukienkę, a ona biegnie do wody, bryzga nią wokół, a potem rzuca się na mnie na oślep, całując do krwi i zawsze wstydzilem się tego i bałem, że mnie wyda, że jej ojciec wyrzuci mnie z domu i znowu będę uciekał, szukając nowych miejsc, przed wspomnieniami z ochronki, jak przed powszechnym szaleństwem, o którym opowiadał mi Guardian, który w piwnicznym laboratorium

wystawił mi metrykę urodzin (specjalnie zmieniając nazwisko!) i dobierając imiona sławnych ludzi – Leo, od Leo Szilarda, który błagał na klęczkach Trumana, by nie pozwolił na użycie pierwszej bomby atomowej, i Maksymilian, od księdza Maksymiliana, który dobrowolnie poszedł do bunkra na głodową śmierć – bo dość miał cierpień i ma-



rzył o tym, bym przejął część ich tajemnic, których sam poszukuje, katalogując płatki śniegu, tak piękne jak wielki kosmos, obejmny na wszystko, gdy tu na ziemi od stuleci dzieje się horror, pewnie dlatego Szarlotta Guardian znalazła swoją kryjówkę pod sceną i kiedy dzieci wychodziły ze szkoły, ona zanurzała się ze mną w ciemność wolna od szyderstw, że jest „głupią Niemką”, żując skórki od chleba przy małym oknie z widokiem na kolejową stację, oglądała eszelony z polskim wojskiem i węglarki, którymi jechał węgiel posypyany wapnem z Czerwonego Śląska do elektrowni Skandawa albo zboże od ludu pracującego z Polski dla Kraju Rad i spoglądała na płataninę szyn z zakładów Kruppa, z których jeden tor skręcał ostro w stronę Ziegenberg (Koziej Góry), którym jej matka została wyprawiona na Sybir, i którym miała wrócić, bo Szarlotta nigdy nie pogodziła się z jej śmiercią, tak samo jak ja nie wierzyłem w śmierć swojej matki, której nie znałem, a której profesor Heinrich Guardian dał w mojej metryce na imię Teresa, żebyśmy pamiętała o św. Teresie z Francji, co uczyniła tysiące cudów, wracając do życia zmarłych, uzdrawiając ślepych i dając wiarę tym, co zwątpili w to, że na tym świecie można

jeszcze znaleźć misterny szyfr – zrzuconą przez Pana Boga śnieżynkę i ogromnego Murzyna z Mali, który założył to miasto, o czym profesor Guardian był święcie przekonany, oglądając pod lupą wykonaną z kości słoniowej pieczęć.

I mówił jeszcze coś, co brzmiało jak rojenia, że bardzo blisko, tak blisko, że większość ludzi w to wątpi, istnieje wspaniały świat, który pewnego dnia otworzy się dla wszystkich, by on, Szarlotta i jej matka podali sobie ręce, dlatego on uczyni mnie swoim uczniem i przekaze mi całą swoją wiedzę, lecz tego samego dnia, gdy profesor ujawnił mi swoją tajemnicę, po południu przetoczyła się nad miasteczkiem potężna burza i powyrywała drzewa w parku jak rzodkiewki, i wtedy Szarlotta Guardian zdradziła mi jeszcze większy sekret – „deszczowych skarbów” i zdjęła buty, i przemierzyła ze mną boso metr po metrze wybrukowane podwórko za kościołem św. Piotra i Pawła, by znaleźć na moich oczach zardzewiały guzik od munduru kolejarza, zaśniedziały szeląg i bursztynowy kamyk, który wzięła pod słońce i mówiła o rzeczach, których nie rozumiałem, że dokładnie w tym miejscu, gdzie byliśmy, z widokiem na fosę i krzyżacki zamek szumiało kiedyś morze i pływał w nim gruby wieloryb, i że kiedyś znowu tak będzie, bo jej ojciec wyczytał to wszystko z jednej zamrożonej kropli.

A potem, z kieszeniami pełnymi deszczowych skarbów, zaciągnęła mnie do kościoła, by pokazać swoje ulubione miejsce pod cudnym reliefem Arki, skąd jej wystraszone myśli uciekały w popłochu za pozłacanym lwem, antylopą i gołębicą, (która sfrunęła na dach największej w świecie pływającej stodoły, by zdążyć przed nadciągającym potopem) i była tak samo zamyślona jak JGH – sławny filozof, który urodził się w naszym miasteczku i z tego samego miejsca jako mały chłopiec podziwiał barokową ambonę, z której ksiądz wypatrywał grzeszników zasypiających nad modlitewnikiem, ziewających skrycie i kierujących pożądliwy wzrok na gruby, spleciony jak żydowska chała warkocz... □



## Najpiękniejsza chwila

Najpiękniejszą chwilę w dzieciństwie zapamiętałam z okresu, gdy miałam z osiem, dziewięć lat. Biegłam nad jezioro i wskakiwałam do wody. Było pusto. Ja, woda, niebo. Kładłam się na wodzie. Cisza, tylko plusk, słońce mnie opalało. Potem kładłam się na plaży i czułam każdym centymetrem ciała promienie słoneczne wnikające w moją skórę. Do tej pory to uwielbiam. To taka moja chwila wyciągnięta z dzieciństwa. Zanurzanie się w promieniach słonecznych, odczuwanie ich całym ciałem. Wtedy o niczym nie myślę. Po prostu czuję. Chwile kradzionego szczęścia.

I jeszcze coś pamiętam. Jakąś Gwiazdkę, gdy miałam chyba sześć lat. Marzyłam o nowej czapce i szaliku. Na Wigilii był mój ukochany wujek, brat mamy. Pamiętam jej pytanie: Ciekawe, co dostaniesz? A ja odpowiedziałam: Oczywiście szalik i czapkę. Ale się zdziwił, że wiedziałam. A ja byłam tego pewna. I pamiętam tę piękną czapkę z pomponem i szalik z frędzlami.

Chociaż, gdy mnie spytałaś o dzieciństwo, to pojawiły się tylko obrazy przerażające i smutne. Na przykład moment, gdy spadło na mnie gniazdo os. Te szczęśliwe musiałam sobie długo przypominać.

## Jaka ja byłam głupia

Żebyś ty wiedziała, córeczko, jaka ja byłam głupia. Przecież różni się we mnie kochali. Ale ja byłam zbyt dumna i wierna. Nigdy na nic bym się nie zgodziła. Bo miałam męża i to było najważniejsze.

Pamiętam takiego naszego klienta, który się we mnie kochał. Zawsze mnie adorował i mówił mi komplementy. Ale ja nic. Udawałam, że nie słyszę. Taka byłam wierna. Boże, córeczko, jaka ja byłam głupia. Któregoś dnia mówi: Pani Jadwigo, ma pani takie piękne oczy. Bo ja wtedy rzeczywiście miałam piękne oczy. Duże i ciemnoniebieskie. Nie takie wyblakłe jak teraz. I on mówi: Jak pani nie wie, to ogłoszę tu wszem i wobec. I na całe gardło zawołał: Uwaga, ogłaszam, że pani Jadwiga ma najpiękniejsze oczy w całym banku. Wszyscy się patrzyli, uśmiechali. A ja się wstydziłam, nie chciałam nic wiedzieć o tym, że się we mnie kocha.

Mówisz, że potrafiłam flirtować? No tak, może i umiałam flirtować. Ale bez podtekstu erotycznego!

Pamiętam też takiego pana. Bardzo był przystojny. Wysoki. Brunet. Zaprzeczenie twojego ojca. On też się we mnie kochał. Nigdy o tym nie mówił, ale to się czuło. Znałam jego żonę. Miał dwóch synków, tak jak ja dwie córeczki. Kiedyś mnie jej przedstawił na ulicy. Nazywał się Robert Syk. Takie dziwne nazwisko. Aż je zapamiętałam. I któregoś dnia przyszedł do mnie z winem. Wyście już spały, a ojciec był w delegacji. A on przyszedł z winem. Zrobiłam coś do jedzenia. I wtedy niespodziewanie wrócił twój ojciec. Nic przecież się nie wydarzyło. Usiadł z nami zjadł, wypił wino.

Tylko potem przez trzy dni się nie odzywał i chodził pijany. W głowie mu się nie mieściło, że ja też mogę się komuś podobać. A sam zdradzał mnie na prawo i lewo. Gdybym potrafiła to wykorzystać, może byłoby inaczej. Ale ja byłam taka głupia, córeczko, taka głupia.

Hanna Brakoniecka

# „Kanapki”

(wybór opowiadań)

## Sen

Marysiu, jaki miałam dzisiaj sen! Ha, ha, ha. Niesamowite, że coś takiego mi się śniło. Zupełnie nie mogę pojąć dlaczego. Przecież w ogóle nie jestem religijna. A tu nagle śniło mi się coś takiego. Aż mi głupio o tym mówić.

Śniło mi się Wniebowstąpienie. Stałam przed kościołem św. Józefa. To mój kościół z dzieciństwa. Stałam w tłumie ludzi. Wydawało mi się, że jest tam także moja mama i ciocia. I gdy popatrzyłam w górę, widziałam nad wieżą kościelną unoszącą się Matkę Boską. Była piękna. Trochę hollywoodzka. Gdy wołałam do ludzi, aby popatrzeli w niebo, bo cud, Matka Boska zniknęła i z chmur formowały się postacie z filmów animowanych. Jakieś misie, kaczory, ale Jej już nie było. Gdy ludzie przestawali patrzeć, a ja podnosiłam głowę, Ona znów się pojawiała. Była widoczna tylko dla mnie...

Z czym mi się kojarzy Matka Boska? Z macierzyństwem oczywiście, z troską matczyną, z Pietą, z tęsknotą za dziećmi...

Boże, jak ja tęsknię za nimi... Mateusz w Gdańsku. Nawet jak przyjedzie, to i tak siedzi u Ani, a Magda w Anglii. Tak rzadko ich widuję...

## Pierwsza komunia

Ta moja wnuczka z Anglii ma już dwa latka. Śliczna dziewczynka. A jaka zdrowa! Ważyła cztery kilo, jak się urodziła. A moje dzieci ledwo przekroczyły trzy, nawet syn. I nigdy nie chorowała, niech sobie pani wyobrazi. Natomiast wnuczek taki delikatny od początku. Nafaszerowany tymi antybiotykami niemal od urodzenia. Mówię, czemu mu tyle tego dajecie, całkowicie straci odporność. Rzeczywiście bardzo delikatny. Ale za to jaki śliczny. Teraz był u pierwszej komunii. Rodzina syna mieszka za Warszawą, w Konstancinie. Wie pani, że oni tam zupełnie inaczej ubierają dzieci do komunii niż u nas w Dobrym Mieście. U nas to chłopcy idą w tych brzydkich albach, jak jacyś biedacy wyglądają. A tam, w Konstancinie, na czarne garniturki nakładają komże. Och, żeby pani wiedziała, jak się prezentują. Pod szyjkami muszki czarne, obwiedzione białym. Przepięknie. Kubuś był taki śliczny, taki przystojny. Ma taką delikatną urodę, falujące włosy. Cudo, mówię pani. Ale dziewczynki jakieś skromne sukieneczki miały, aż dziwne. U nas przecież zawsze takie strojne, a tam – skromniutko. A jedna, wie pani, nawet taką pelerynkę miała, beżową. Do białej sukni, z włóczki, zrobioną na drutach. Biała sukienka i taka pelerynka? No, nie wiem... □

o r o z a  
**Coraz rzadziej  
 chodzisz do  
 pubu**

Coraz częściej siedzisz w domu. Powietrze. Teraz bardziej ostre, zimowe. Siedzisz w głębokim, miękkim fotelu. Palisz papierosa. Pijąc wódkę z sokiem patrzysz na płonący w kominku ogień lub jego niewielki fragment migający na ladzie. Korzystasz z tego, że w każdej chwili możesz być w expres pubie. Nie musisz nigdzie wychodzić. Wystarczy, że wejdiesz na stronę internetową, klikniesz i wygodnie usiądziesz w fotelu. Przed ekranem komputera spędzasz cały tydzień, z bardzo krótkimi przerwami na sen, patrząc na płonący w obrazie kominka obraz ognia lub jego niewielki fragment migający na ladzie. Dopiero w niedzielę rano ze stojącej w kącie pokoju szafy wyjmujesz stary karton po butach, z niego fotografie, niektóre w kolorze sepia. Na każdej ona. Ubrana w długi, szary, wełniany płaszcz. Ubrana w ciemny paltocik wykończony futrzanym kołnierzem albo w sukienkę w coś. Nie widzisz wzoru. Wszystkie starannie rozkładasz na parapecie okna. Od sąsiada z naprzeciwka pożyczasz kilka kulek naftaliny, kładziesz je na bordowej, skórzanej rękawiczce. Obok chusteczki z monogramem. Zastanawiasz się, co jeszcze wybrać, w jakie rzeczy wyposażyc białą płaszczyznę parapetu. Chusteczka, naftalina. Skąd ci przyszła do głowy rękawiczka, skąd naftalina, od której całe mieszkanie wypełniło się zapachem starzyzny? Nie wiesz. Ulegasz czasem spontanicznym działaniom. Dodajesz niewielki pasek sztucznej trawy, układasz na niej jabłka. Niektóre z nich zjadasz od razu, inne zostawiasz sobie na później. Obojętniejesz. Ołtarzyk na parapecie jest beznadziejnie brzydki. I śmierdzi. Kiedy kończysz, właśnie wtedy ktoś puka do drzwi. Nie otwierasz. Myślisz, że to ten stary. Ściszasz telewizor i czekasz, aż pójdzie. Twoimi ruchami kieruje wyłącznie obrzydzenie. Kot nie zapuka. Nikogo innego nie chcesz widzieć. Ten stan trwa trzydzieści trzy dni. Po internetowych wypadach do expres pubu, wielogodzinnych lekturach metody silvy, huny, lekkich i niezobowiązujących praktykach buddyzmu tybetańskiego, po męczących dniach spędzonych z trzymanym w ustach patykiem pozostało jedynie toczne ślinianych kulek, za małych nawet na to, żeby splunąć. Twoje subtelne aluzje skierowane teraz wyłącznie na siebie nie przynoszą efektów. Wiesz już, że ołtarz na parapecie jak każdy inny jest fałszywy, odnosisz sąsiadowi kulki z naftaliną. Marzysz o tym, by zacząć z kimś korespondować. Jak niegdyś. Przez moment ulegasz urokowi słowa – niegdyś. Teraz leżysz na tapczanie. W twojej głowie wznosi się powoli drugi ołtarz. Można byłoby ją śledzić, gdybyśmy wiedzieli, gdzie dzisiaj jest, ale nie masz zbyt wielkich szans, żeby się tego w jakikolwiek sposób dowiedzieć. Po raz pierwszy od ponad miesiąca wychodzisz z bloku. Nie idziesz do pubu, na razie nie chcesz się z nikim spotykać. Dzisiaj wyraźnie zdajesz sobie sprawę z tego, że rozmowy czy wspomnienia już niewiele dają i niczym cię już nie zaskoczą.

Ulica Dworcowa. Stajesz przy oknie wystawowym. Sklep RTV i AGD. Na ekranie telewizora widzisz twarz mężczyzny, który nie żyje od sześciu lat. Nie potrafisz przypomnieć sobie jego imienia. Nazwiska zresztą też. Porusza wargami. Twoją uwagę przyciągają – teraz tylko usta i zęby. Widzisz jego uśmiech, który niczego nie łągodzi. To idiotyczne – myślisz. – Powinien być nieobecny. Martwy. Zniknąć jak Weronika. Lub. Byłoby prościej, gdyby naprawdę leżał pod grubą warstwą ziemi. Nie potrzebujesz agresji, którą dzisiaj wyraża każdy mięsień jego twarzy. Nie powinno go tu być – stwierdzasz ze złością – to nienaturalne. Nawet gdyby miał miłszy wyraz twarzy. Obok ciebie staje jakiś mężczyzna i oglądalność nagle wzrasta o sto procent.

Wracasz do domu.

Wyjmujesz ze skrzynki gruby list. Patrzysz na nadawcę, nie wiesz własnym oczom. Nie ufasz napisom. Myślisz – cud pocztowy, w którym być może czai się jakiś podstęp. Bardzo dokładnie oglądasz kopertę. Duża i ciężka, z całą pewnością wykonana własnoręcznie. Starannie złożona kartka, wyrwana najprawdopodobniej jakimś czasopiśmu, ze świadomie wyeksponowanym przez nadawcę zdjęciem mężczyzny w koszulce w paski. Przypomina marynarską, ale tego z powodu czarno-białej fotografii nie wiesz na pewno. Wyraźnie natomiast widać, że mężczyzna ma pięknie pomalowane, sprawiające wrażenie pełniejszych usta i śmieje się do ciebie szeroko. Obok wdzięczącego się mężczyzny naklejony przekaz pocztowy, na nim twój adres. Z drugiej strony koperty przyklejony bilet autobusowy i dane nadawcy. Otwierasz kopertę (wyjmujesz i książkę wkładasz pod pachę), na razie niczego nie czytasz. Wchodzisz do domu. Wchodzisz do łazienki. Całą twoją uwagę skupia teraz światło. Obserwujesz śmierć żarówki. To nie powinno mieć żadnego znaczenia, ale. Stoisz w łazience. Początkowo dociera do ciebie jedynie niecodzienny w tej przestrzeni dźwięk. Delikatne bzyczenie elektronicznego owada. Cichy chrobot agonii. Podchodzisz bliżej i widzisz, jak we wnętrzu szklanej bańki, na rozżarzonej do białości, świetlnej fali, przypominającej nerwowo napisaną literę m pojawiła się czteromilimetrowa przerwa, rozdzielając ją na dwa krótsze i świecące teraz nieco jaśniej odcinki. Niemal czujesz wzmagający się ruch. Gwałtowne przyspieszenie i hałas w cichym dotąd wnętrzu. Niczego nie zmienisz. W żaden sposób, nawet stojąc tak blisko i mając możliwość działania. Twój gest, kiedy mimo świadomości nieuchronnego finału próbujesz dokręcić żarówkę, jest beznadziejny i śmieszny. Wiesz, że to już koniec. Po chwili na dno bańki spada drobna iskra, słyszysz jeszcze, jak uderza o szklaną powierzchnię i wszystko znika. Jest ciemno i zimno. Na trzy godziny wchłonęła cię dziewięciometrowa, prywatna, czarna dziura łazienki. Przeżywasz tę śmierć. To była jedyna żarówka, więc dopiero następnego dnia, kiedy w twojej łazience pojawiła się nowa żarówka, czytasz list od przyjaciela Weroniki; od ich przyjaciela. □

Plan na sezon artystyczny 2009/2010 najważniejszej placówki muzycznej miasta zapowiada się interesująco i ambitnie. W tym roku bowiem Orkiestra Symfoniczna Filharmonii pod batutą Dyrektora Artystycznego placówki, prof. Janusza Przybylskiego, zamierza nie tylko ubogacać swoimi koncertami mieszkańców Olsztyna, lecz także systematycznie prezentować je poza olsztyńską siedzibą – w miastach i gminach Warmii i Mazur (Iława, Działdowo, Elk). W programie wyjazdowym Orkiestra zaprezentuje utwory F. Chopina, W. A. Mozarta, C. Debussy'ego, Z. Fibicha, J. Pauera, A. Chaczaturiana oraz C. M. von Webera.

Olsztyńscy melomani uraczą się natomiast w roku 2009 cyklem koncertów pt. „Muzyka symfoniczna na żywo” w ramach programu „Edukacja kulturalna i diagnoza kultury”, oto kilka zachęcających przykładów niedalekich już uczt dźwiękowych: muzyka M. Sewena, R. Twardowskiego, W. Kilara; koncerty „Z okazji Międzynarodowego Roku Astronomii 2009” (w progr.: F. Nowowiejski, H. Melcer, G.T. Holst) oraz „Muzyka Filmowa” (w progr.: utwory z „Vabanku I i II”, „Seksmissji” oraz „Na kłopoty Bednarski”); koncerty specjalne: z udziałem światowej sławy solisty i kameralisty wiolonczelowego Colina Carra oraz zespołu „Hevelius Brass” opisywanego jako „wrażliwość, elegancja, nienaganny styl i szlachetne brzmienie”... (w progr.: M. Ravel, W. Lutosławski, M. Rimski-Korsakow).

Specjalnie dla dzieci i rodziców „Koncerty Rodzinne”, czyli „Poranki symfoniczne...” z udziałem ulubieńca Czochera („Kosmiczna podróż muzyczna”, „Mali i duzi soliści” z udziałem uczniów PSM I st. w Olsztynie, „Podróż do starego Wiednia” i grudniowy „W krainie Świętego Mikołaja”). Rok 2009 podsumuje i otworzy jednocześnie rok 2010 „Koncert na Nowy Rok” w iławskiej PSM I st.

Pełny program na stronie internetowej [www.filharmonia.olsztyn.pl](http://www.filharmonia.olsztyn.pl)

## Magdalena Strzyż

# Przegląd Wydawnictw Regionalnych „Moje Twoje Nasze” 2009

W ramach Europejskich Dni Dziedzictwa po raz drugi Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie stała się miejscem spotkania ludzi książki: wydawców, autorów, bibliotekarzy, animatorów kultury i czytelników. W imprezie udział wzięło 26 wystawców regionalnych oraz zaproszeni autorzy. Oficyny zaprezentowały bogatą ofertę książkową oraz nowe, specjalnie przygotowane na wrzesień tytuły. Wśród uczestników Przeglądu po raz pierwszy znalazły się m.in. Regionalista z Olsztyna, Retman z Dąbrówna oraz Uran z Elbląga. Podczas targów można było zapoznać się z najnowszymi tytułami oraz uzupełnić księgozbiory o starsze wydania. Przeglądowi towarzyszyły liczne imprezy kulturalno-literackie przedstawione w okolicznościowym katalogu. Bibliotekarze biorący udział w warsztatach ph. „Twórcze spotkania z książką” mieli okazję poznać różnorodne formy pracy z tekstem, zabaw słowem, proste techniki plastyczne, muzyczne i teatralne. Każdy mógł też uczestniczyć w warsztatach czerpania papieru, kaligraficznego pisania gęsim piórem lub na brajlowskiej maszynie. Podczas Przeglądu można było obejrzeć kilka wystaw. Prezentowano m.in. książki tematycznie związane z hasłem tegorocznych Europejskich Dni Dziedzictwa „Zabytkom na odsiecz! Szlakiem grodów, zamków i twierdz”, ilustracje Edwarda Ratuszyńskiego zaczerpnięte z książki „Miasto bajek” Agaty Grzegorzczuk-Wosiek oraz ekspozycję starych maszyn do pisania. Spotkania z autorami uzupełniało „głośnie czytanie” wybranych fragmentów w interpretacji studentów Olsztyńskiego Studium Aktorskiego im. A. Sewruka. Niewątpliwie ciekawostką Przeglądu były spektakle w wykonaniu aktorów Teatru Lalek z Wrocławia promujących ideę dziewiętnastowiecznego teatru rodzinnego. Dzięki nim widzowie mieli okazję przenieść się wraz z papierowymi postaciami i makietą teatru w krainę literatury. Wydawcy przekazali organizatorom książki, które (rozdzielone metodą losowania) pozwolą uzupełnić księgozbiory bibliotek.

*Clou* imprezy stanowił konkurs ARS Libris – na najciekawiej edytorsko wydaną książkę. Odbył się on w sierpniu-wrześniu na stronie internetowej <http://www.wbp.olsztyn.pl/programy/mojetwojenasze/2009/>. Na wydawców czekały statuetki, a na książkę, która uzyskała największą ilość głosów – nagroda specjalna Prezydenta Miasta Olsztyna. Głosujący czytelnicy otrzymali upominki. Przegląd zamknięto uroczystym wręczeniem statuetek i nagród oraz podsumowaniem działań projektowych, których realizacja była możliwa dzięki środkom finansowym uzyskanych w ramach Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Literatura i Czytelnictwo”.

WBP w Olsztynie włączyła się do działań prowadzonych w ramach EDD 2009 również poprzez popularyzację regionalnych zabytków na stronie [www.wbp.olsztyn.pl/zabytkobranie](http://www.wbp.olsztyn.pl/zabytkobranie). Warmia i Mazury to kraina o wielkim bogactwie historycznym i wyjątkowym krajobrazie – pełna pamiątek po minionych czasach. „Zabytkobranie” prezentuje wybrane obiekty o niezwyklej urodzie, jak dotąd nie odkryte – to strona dla tych, którzy potrafią dostrzec prawdziwe skarby ukryte w zakątkach regionu. □





## Wojciech Jasionowicz



Wojciech Jasionowicz urodził się w Kętrzynie. W latach 1988-1993 studiował w PWSSP w Gdańsku na Wydziale Rzeźby. Dyplom w 1993 r. w pracowni prof. Edwarda Sitka. Od 2000 r. prowadzi galerię Mazurski Ogród Sztuk.

Uprawia rzeźbę, malarstwo, rysunek. Prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą.

Jasionowicz dwukrotnie prezentował swoje dzieła w Galerii Stary Ratusz WBP. Prace malarskie, płaskorzeźby i rzeźby pod wspólnym tytułem „Portret Mazur” oraz rzeźbę i rysunek z cyklu „Konstrukcje i okna”.

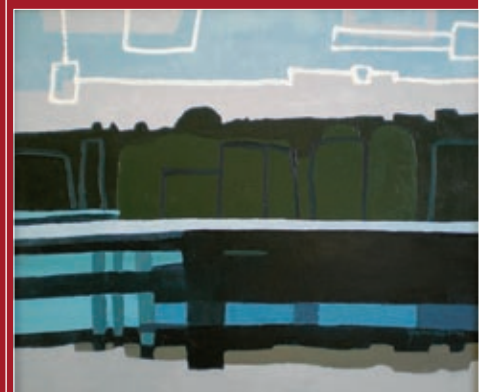
[www.http://free.art.pl/mazur/](http://free.art.pl/mazur/), e-mail: [mazur@free.art.pl](mailto:mazur@free.art.pl), tel. 0 600 318 854

## Portret Mazur

*Moje Miejsce na Mazurach.*

*Obserwacja natury wyzwoliła we mnie chęć stworzenia mechanizmu artystycznej wypowiedzi, który uzupełniałby doznania artystyczne. Powinno to być doznanie idealne wyczerpujące nasze potrzeby artystyczne, jak również inspirujące nas samych do dalszych aktów twórczych na wielkim polu sztuki. Rzeźba, malarstwo, sztuki wizualne i inne wychodzące z głębi człowieka, które nie działają destrukcyjnie a budująco, powinny znaleźć się w Mazurskim Ogrodzie Sztuk tworząc jego harmonię.*

*Prawdopodobieństwo znalezienia najlepszego środka na wypowiedź artystyczną jest znikome. Umiejętne pokazywanie, zestawianie różnych środków artystycznego wyrazu może przynieść ogromne korzyści estetyczne i intelektualne tak dla twórców jak i odbiorców sztuki. Jeden temat artystyczny można zaprezentować na wiele sposobów, ale zwielokrotnienie go można uzyskać poprzez zestawienie z różnymi środkami wypowiedzi artystycznej tylko w tym jednym określonym miejscu, na Mazurach...*





# Konstrukcje i okna

„Prace, rzeźbiarskie konstrukcje wzięły swój początek z obserwacji wnętrza, w których się znalazłem przypadkowo, i w których przebywam częściej. Człowiek od dawna poszukiwał schronienia przed anomaliami pogodowymi, atakami innych ludzi, zwierząt, miejsca, gdzie mógłby spotykać się z innymi, bezpiecznie pracować i żyć. Wnętrza te, z moich obserwacji, były wymyślnie skonstruowane, wyposażone. Zależało to od przeznaczenia, od ludzi, którzy te wnętrza projektowali, od ich majątności wewnętrznej i materialnej. Wnętrza te zależały także od okresów historycznych, które je tworzyły. W obecnych współczesnych czasach pionierzy i pozioamy budują całe wnętrza mieszkania, w którym jestem zmuszony przebywać.

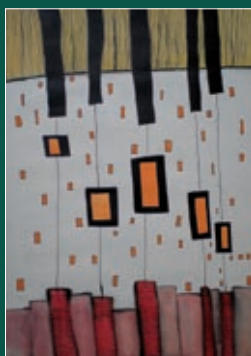
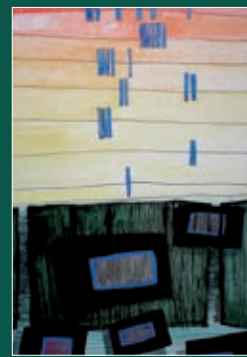
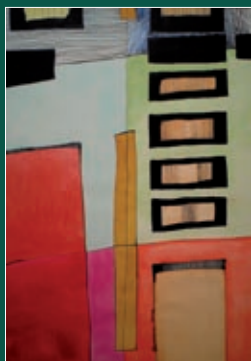
...  
W rzeźbie trójwymiarowość i opływająca go przestrzeń są dla mnie problemem najistotniejszym. Odszedłem od naśladowania natury w jakiegokolwiek formie. Wyzbyłem się organicznych kształtów w swoich wyabstrahowanych pracach. Staram się jednoznacznie nie wyzywać wprawę i nawyków rzeźbiarskich i stolarskich.

...  
Stosując fakturę grubego papieru ściernego próbuję rozedrgać, rozmydlić stojącą przede mną rzeczywistość. Liczne rysy na usłojonej powierzchni, zauważalne tylko z bliska wskazują na swoistą prawdę tworzenia, narzędzia, na szczerą artystyczną wypowiedź w pełni zamierzoną. Wszystkie moje przemyślenia odnoszą się do człowieka żyjącego we wnętrzu. Istnieje również problem człowieka przebywającego we wnętrzu wszechświata, na powierzchni ziemi w otaczającym nas chaosie architektonicznym.

...  
Zasugerowałem tu tylko tematy i przyczyny, jakie mną kierowały do stworzenia takich a nie innych konstrukcji rzeźbiarskich. Jak już wcześniej wspominałem, słowa nie są w stanie określić potrzeb i oczekiwań. Tylko bezpośredni kontakt z pracami może pobudzić naszą wyobraźnię do refleksji”.



Wystawy prac artysty w Galerii Stary Ratusz WBP



**Pani debiut literacki to artykuł o rodzinnym mieście Mrągowie. Miała Pani wtedy 12 lat... Skąd geneza tak wczesnej fascynacji Mrągowem (po przeczytaniu powieści słowo „fascynacja” naprawdę nie jest przesadzone!)? U dziecka to chyba nietypowe – takie zainteresowanie konkretnym miejscem.**

Dzieci też mają swoje wielkie i małe fascynacje i swoje ulubione miejsca, które potem się dobrze kojarzą. Dla mnie moje miasto było zawsze takim miejscem. Uwielbiałam błądzić po zarośniętych krzakami ścieżkach parku przy moim rodzinnym osiedlu Parkowym – dawnym końskim targu, słuchać mrozących krew w żyłach opowieści o czarownicy zamkniętej na wieży Bismarcka czy podjadać niezwykłego smaku i aromatu tort, upieczony przez prawdziwą Mazurkę z Marcinkowa, panią Skrodzką, która była wielką mistrzynią mięs peklowanych, mazurskiej marchewki i tego tortu właśnie. Bawiłam się kiedyś na ulicy Dziękczynnej, jednej z najstarszych ulic w Mrągowie, na której stoją przycupnięte maleńkie domki dawnych mieszkańców. Marzyłam, by nie mieszkać już w bloku, ale właśnie w takiej spokojnej enklawie zieleni i kwiatów. Wkładałam rękę do żeliwnej skrzynki na listy, jeszcze z przedwojennych czasów, i myślałam o tych, którzy przede mną wyjmowali z niej swoją korespondencję. Artykuł w Płomyku, trzy lata później wygrana w konkursie literackim „Tu mieszkam” Gazety Olsztyńskiej – to wszystko było nie tylko zaskoczeniem, ale i możliwością pokazania, że potrafie, jako dziecko, opowiedzieć o poważnie o moim mieście.

Zawsze lubiłam jego wąskie uliczki, spokój i... bruk, który jest jakby łącznikiem z tamtymi czasami, głównym punktem mego Miasta. Teraźniejszość mieszała mi się z przeszłością, może pod wpływem wspomnień dawnych mieszkańców, moich niezujących już Rodziców czy ich znajomych. Pokochałam od razu swoje miasto miłością bezwarunkową, dziecięcą i taką ona pozostała – z tym samym entuzjazmem wciąż odkrywam w nim ciekawe miejsca, napisy na domach, chodnikowych płytkach, ścianach, niezwykle zdobienia i... historie miejsc, w których przebywam. To naprawdę moje miejsce na ziemi!

**W Pani prozie pewne słowa zyskują nową jakość... Słowa niemodne czy niewygodne, słowa-zabytki semantyczne – „prowincja” oraz „marzenie”. Demystyfikuje więc Pani kilka słów ważnych dla nas, ale nie do końca kojarzonych pozytywnie...**

Mówi się, że prowincja to nie miejsce, a stan umysłu. Jak tak nie uważam. Bo moja prowincja to miejsce właśnie. Każdy ma prawo do swoich spostrzeżeń. Prowincja... Czy może być czymś negatywnym? Chyba myślą tak zwłaszcza ci, którzy prowincji nie kochali. A ja chciałabym odczarować prowincję. Taką właśnie – pełną marzeń, bo ludzie stąd też mają swoje małe i duże marzenia. Czasem o wielkim świecie, a czasem o wielkim... spokoju. By trwał cały czas, przerywany tylko pianiem koguta czy nawoływaniem krów.



Tak, żeby stała się miejscem magicznym, pełnym marzeń i nadziei, a nie gniazdem ludzi o małomiasteczkowych poglądach, ciekawskich i skupionych na życiu bardziej innych niż swoim. Żeby tym z dużych miast nie kojarzyła się z tandetą, zaściankiem czy nudą, a z miejscem, w którym tętni normalne życie, czasem może trochę wolniej, spokojniej, bez korków na ulicach i laptopów na kawiarnianych stolikach. Żeby uwierzyli, że na prowincji może być fajnie. Żeby to słowo pokojarzyło się cieplej, sympatyczniej. Żeby z dumą można było powiedzieć: u nas na prowincji... Tu też jest jakieś życie, miłości, smutki. Świat nie należy tylko do tych, którzy są z wielkich miast.

**„Prowincja” – w umyśle pojawia się etykieta „równa się >zaścianek<” – „równa się >zacofanie<” – a Pani stwierdza „dumna jestem z tego, że mogę tak powiedzieć”... Proszę nam powiedzieć więcej, wyjaśnić – powiększyć obóz entuzjastów prowincji!**

Jak już powiedziałam, prowincja może być magicznym miejscem na ziemi. Bo szczęścia nie można doświadczyć w betonie, w gwarze ulic czy dyskoteci świetel. Nie wierzę w to. Gdy stawiamy stopę na leśnej ścieżce lub grzebiemy patykami w ognisku, wznosimy głowę do góry, nabieramy powietrza w płuca i wzdychamy: ale tu pięknie. I to jest właśnie nasza natura, podświadomość. Uciekamy w takie

miejsca choć na chwilę – to znaczy, że ich pragniemy. Podskórnie szukamy tego spokoju, tęsknimy za nim, tylko na co dzień zagłuszamy to bodźcami. Jeśli poddamy się po prostu naszej naturze – entuzjastów prowincji na pewno przybędzie!

Tak. Jestem dumna z tego, że mieszkam na prowincji. Że mogę dokonywać swoich prowincjonalnych wyborów i żyć tu zupełnie świadomie, nie z konieczności. Może czasem nie odnajduję się w supernowoczesnej toalecie na sensory, nie bywam w Multikinie, nie znam aktualnego repertuaru opery. Nie oglądam telewizji, nie kojarzę nazwisk znanych amerykańskich aktorów ani tytułów filmów, w których grają, nie śledzę seriali. Wiem natomiast, jak wygląda nostrzyk i bodzisek, jak brzmi klangor żurawi, jak chrapie zmęczony wędrownik pies i kiedy sejmikują szpaki. Mam swoją szuflandę i dobrze, że tak jest – niech każdy ma swoją, bo w tym się sprawdza i dobrze czuje. Żyję swoim życiem – staram się, by było przeżyte w pełni. Prosto, nieskomplikowanie, bez marudzenia, krytykowania, a w podziwie nad światem. I na pewno nie jest to zacołanie. To sposób na życie.

**Akcja Pani książki w większości rozgrywa się w Mrągowie – dlaczego więc tytułowa „prowincja”? To miasto z 14 wieku, które ma obecnie ponad dwadzieścia dwa i pół tysiąca osób!**

Ale ma wszelkie atrybuty prowincji. U nas mówi się, że jak ktoś coś głośno powie na jednym końcu miasta, to słyhać to na drugim. Trudno być anonimowym. Idę na rynek kupić książkę i tam zna mnie pani Krysia, i rozmawia ze mną, wybiera książki. Idę do kosmetyczki – a tam krzątają się od rana Kasia i Agnieszka, a przed nimi masa klientek, zagadanych jak na dworcu. Idę do Rossmana, a tam ochroniarz poleca mi najładniej pachnącą wodę toaletową. Idę do rybnego – znajoma sprzedawczyni już pakuje mi moją ulubioną tilapię i poleca jakąś nowość w panierce. I tak wszędzie. Ze wszystkimi trzeba pogadać, pośmiać się, umówić na spotkanie, na telefon, na spacer, na wspólne zatrzymanie czasu. Czyż to nie prowincja? W dużym mieście trudniej o takie relacje, choć wiem, że też istnieją. Ale tu mają inny wymiar. Prowincjonalny.

**Bardzo głęboki kontrast „miasto-prowincja”? Czy aż tak złe doświadczenia z przestrzeni miejskiej?**

Nie lubię dużych miast. Są głośne i nieprzyjemne. Dla mnie, choć wiem, że są tacy, którzy je kochają. I dobrze – bo gdyby wszyscy nagle przenieśli się na prowincję... Niedawno byłam w Łodzi. Lubię to miasto, lubię gwar na Piotrkowskiej, grę świateł, zabieganych ludzi. Pełne plakatów słupy ogłoszeniowe – za każdym z nich idą kolejne wystawy, koncerty, spotkania. Trochę mi ich brakuje, choć tylko czasem, bo nasz dom kultury działa prężnie i jak na potrzeby małego miasta – imprez i spotkań jest cała masa, są świetne książki w czytelni i bibliotece, i w sumie... jest w czym wybierać. Zawsze jednak zauważam, że powietrze w dużym mieście jest gęste, pachnie inaczej, że jest mało miejsca, że galerie to wielkie sklepy, a nie miejsca klimatycznych wystaw. Jestem przeciwniczką konsumpcjonizmu, a ten, wydaje mi się, w dużym mieście częściej wyciera zza sklepowej wystawy i kusi wyjątkowością, oryginalnością

i koniecznością wydania pieniędzy. A tymczasem... im więcej mogę mieć, tym mniej mi potrzeba. Tak powiedziała kiedyś Roma Ligocka, którą czytam wciąż i wszędzie, i jej słowa przyjąłam za własne.

Duże miasto... Te korki, te niekończące się godziny w nich! Ten umykający w autach czas, który mógłby być użyty w inny sposób, do stworzenia wiersza, wysłuchania muzyki czy pogłaskania psa. Lubię duże miasto za pewne rzeczy: za Greenwaya i inne wegetariańskie restauracje, za koncerty poezji śpiewanej, których w moim mieście nieco mniej, za spotkania z ciekawymi ludźmi, za empiki oraz za antykwariaty, bo godziny w nich spędzone są niezwykłe i pachnące innym światem...

**Marzenia – równa się „bujanie w chmurach”, równa się „nieprzystosowanie” – albo nawet „nieróbstwo”. A Pani mówi – „czarowanie”...**

Bo marzenia naprawdę mają magiczną moc spełniania się! W wieku dziewięciu lat wymarzyłam sobie, że napiszę książkę. Obiecałam to Mamie. Nie dożyła, nie dowiedziała się, że spełniłam to marzenie. Myślę jednak, że w jakiś sposób mi towarzyszy... Marzyłam, by hodować psy (mam też rudego kota!) na wsi. Spełniło się. Że zamieszkam w drewnianym domu. Spełniło się. Że będę miała przy sobie prawdziwych przyjaciół... I ci są ze mną... Wierzę, że Paulo Coelho, że w marzeniach Wszechświat potajemnie sprzyja i chciałabym tą wiarą зараzić innych. Bo każdy ma prawo do swego szczęścia. Bo Marzenia to poważna sprawa, nie bujanie w chmurach. To prawdziwe i świadome zmienianie swego życia.

**„Marzenia się spełniają” – ta mantra często pojawiała się na kartach powieści, czyli to one są głównym napędem naszego życia – oczywiście, jeśli chcemy „czegoś” dokonać?**

Musimy o tym myśleć, jak o czymś, co już jest, tylko będzie trochę później. Życie tak się plecie, że marzenia się spełniają, że każdy dzień przybliża nas do tego. Spotykamy bowiem na swej drodze ludzi, którzy pomagają nam spełniać te nasze marzenia. To właśnie od ludzi wszystko zależy. Nie ma spotkań przypadkowych. Nieprzypadkowo rozmawiamy teraz, odpowiadam na nieprzypadkowe pytania... Swoją drogą – bardzo ciekawe. Być może do kogoś mają te słowa dotrzeć, do czegoś sprowokować. I to jest piękne – że po Heraklitowsku wszystko płynie, zmienia się. Więc... spełniamy też marzenia innych, dzielimy się szczęściami i tym, czym tylko możemy...

**Ukazuje Pani czytelnikom nowoczesny, niestereotypowy obraz bohatera-Niemca: po pierwsze młodego człowieka, wrosłego przez przeszłość w naszą ziemię, zafascynowanego pięknem Mazur; po drugie – byłego mieszkańca dawnych Prus Wschodnich, człowieka „takiego jak my” – tęskniącego za swoim domem, za ludźmi, którzy zginęli, zgniecione przez tragiczny młyn wojny. W obecnym czasie (pamiętajmy o tak modnym słowie „roszczenia”!) to ujęcie odważne.**

Nie oceniam historii, nie zajmuję się jej interpretacją, to zostawiam tym, którzy z zamiłowania się tym zajmują, czyli historykom, polito-

logom i całej rzeszy mądrych ludzi. Nie piszę o roszczeniach, tylko pokazuję, że nie wszyscy Niemcy myślą o tym, jak zabrać nam tę ziemię. Ja takich właśnie Niemców poznałam. I to w momencie, gdy pełna niechęci i stereotypów do tej nacji, wyjechałam na tydzień do Grünberg w Hesii. Zmienił się mój pogląd na tych ludzi, choć nie stałam się dnia na dzień wielką entuzjastką Niemiec, ale... oswoiłam swoją niechęć i inaczej już patrzę na nich, choć, niestety, nie znam ich języka, w przeciwieństwie do mojej bohaterki.

W książce pokazuję emocje, które towarzyszą trudnej historii Prus Wschodnich. I towarzyszyły – wtedy, kiedy przedwojenni mieszkańcy zmieniali swoją ojczyznę. To był dramatyczny dla nich czas, bo to nie była ich, Mazurów, wojna, i zainteresował mnie bardzo, gdy docierałam do przekazów, wspomnień, fotografii. Wyobrażałam sobie, jaki rodzaj uczuć towarzyszył Hansowi i jego rodzinie, gdy opuszczał swój dom. Co czuła jego matka, gdy musiała zimą, z dziećmi, przeprować się do Niemiec. Gdy spóźnili się na Gustloffa. Gdy ten zatonął. Bo ta historia, opisana w książce, jest prawdziwa... Naprawdę – spotkałam Hansa, dawnego mieszkańca Sensburga.

**Czy strona internetowa – Pani blog właściwie – to konsekwencja powieści, narzędzie do jej promowania, które „się usamodzielniało”, czy może być samoistny, notatnik życia codziennego, powiązany z książką?**

Myślałam o tym dzienniku jak o sposobie kontynuacji książki. A właściwie – takim swoistym ujściu dla słów, którymi mogę opisać prowincję, odczarować ją. Tam naprawdę zdarza się tam masę ciekawych i zabawnych rzeczy – wyprawa moich psów i kota na wiejskie zebranie, spacer o północy ciemną popowską drogą, jedynie w blasku srebrnego księżycy w pełni, poszukiwanie i wykopywanie przydrożnych rudbekii, czyli sierpniowych, żółtych jak słońce kwiatów, które rosną w wiejskich ogródkach, poezja ogniskowa śpiewana z gitarą, nad stawem pełnym żab i inne proste sytuacje, które mają swój urok i które nigdy nie wydarzyłyby się w wielkim mieście. W tym dzienniku dziękuję również moim Czytelniczkom i czasem Czytelnikom, którzy piszą do mnie na Naszej Klasie i którzy wysyłają mi takie miłe i łaskoczące w serce recenzje, że czasem... muszę po prostu pokazać je światu. Jeśli oczywiście autorzy pozwolą. I zdjęcia są, wspomnienia, wiersze – strzępki mojego świata, zebrane, ponazywane, uszeregowane w słowa. Nie piszę codziennie, jak tego wymaga słowo dziennik, i tak sobie myślę, że prowadzę raczej niecodziennik prowincjonalny. Może, jak przyjdzie zima i zasypie mnie białą nostalgia – będę pisać częściej?

Ale zapraszam już teraz: [www.prowincjapelnamarzen.pl](http://www.prowincjapelnamarzen.pl)

**Żaden autor nie może uciec od pytania o autobiografizm. Proszę zdradzić, jak wiele w wypadku „Prowincji pełnej marzeń” literatura miała wspólnego z rzeczywistością?**

Prawdziwa jest historia małego Hansa. On naprawdę mieszkał w Mrągowie, czyli przedwojennym Sensburgu, jego ojciec był pastorem. Nie mieszkał w kamienicy, w której dzieje się akcja – czyli w kamienicy pełnej szeptów. Trochę go przeprowadziłam, bo kiedyś mieszkał na obecnej ul. 8 Maja, ale tamta kamienica – bohaterka mojej powieści, jest... bardziej tajemnicza, magiczna, taka właśnie... szepcząca. Kiedy pisałam rozdziały z jej udziałem, naprawdę tam mieszkałam – u mojej koleżanki Iwony, w której mieszkaniu rozgrywa się akcja. Przeprowadziłam się tam na kilka dni, piłam białą herbatę i zioła, i oddychałam rytmem tego miejsca. Historia syna Hansa jest już wymyślona, sama dopisałam jego życiu kolejne rozdziały.

Prawdziwe jest też pożegnanie z rodzicami bohaterki, ich nagłe odejście w momencie, kiedy człowiek najbardziej potrzebuje drogowskazu na życie. To jest moja smutna historia – wcześniej, zaledwie trzy lata po maturze, musiałam wydorosnąć, osierocona nagle – najpierw zmarł Tata, a po kilku miesiącach Mama, bez własnego dachu nad głową, bez perspektyw na lepsze życie. Człowiek pozbawiony gniazda rodzinnego jest kaleki, odczuwam to przez cały czas nawet dziś. Zazdroszczę tym, którzy mogą powiedzieć, że jadą do rodziców na niedzielny obiad czy na wigilię... Ja tego nigdy już nie doświadczę...

To niewielkie miejsce w powieści, w której wystąpili, to mój hołd oddany pożegnanej na zawsze miłości do nich. Bo bardzo tęsknię za Rodzicami – po odejściu kogoś bliskiego pozostaje pustka, której nic nie wypełni, nawet najważniejsze sprawy świata i największe miłości.

Przyjaciółki bohaterki... Też w sumie jakieś tam prototypy istnieją, są nimi częściowo moje przyjaciółki, Bodzia i Agnieszka, na których nigdy się nie zawiodłam. I są jeszcze inni przyjaciele, nieliczni, ale sprawdzeni, zwłaszcza na życiowych zakrętach. Nie wypadli z nich, byli ze mną w chwilach najtrudniejszych, zostali, i to dla nich napisałam tę powieść – co ujęłam w dedykacji. Do innych ważnych chwil, momentów i ludzi wracam w drugim tomie „Prowincji” (tytułu na razie nie zdradzam!), nad którym pracuję, a który, jeśli wszystko ułoży się po mojej i Wydawnictwa MG myśli, ukaze się w lutym.

Reszta powieści – to fikcja, inspirowana może jakimiś drobnymi wydarzeniami z życia, bo to jest nieuniknione. Jak nieuniknione jest kojarzenie niektórych zachowań bohaterki z moimi, bo tak to już jest, że w powieści, zwłaszcza pierwszej, autor sprzedaje sam siebie, i niech tak zostanie, bo to jest właśnie piękne i niepowtarzalne. Bo nigdy już nie napiszę swojej pierwszej powieści...

Dziękuję bardzo. □

Rozmawiała Anna Rau

## Anita Romulewicz Odczarowanie Joanny

Nie od dziś istnieje przekonanie, że Mazury to magiczna kraina tysięcy jezior, kusząca swoją dzikością, wypełniona tajemniczymi, urokliwymi zakątkami, odkrywająca przed spragnionymi natury przybyszami pokłady piękna. Zdawać by się mogło – romantyzm w czystej postaci. Bo przecież to tu co rano można podслуchać, o czym rozmawia ptak z ptakiem, a wieczorem podglądać próżny księżyc przeglądający się w jeziorze. Nie wiedzieć tylko dlaczego mieszkańcy tej Arkadii nie dostrzegają wszechobecných cudów. Wręcz przeciwnie – ich „sękatę” życie przytłacza szarością. Czyżby na nich ten czar nie działał?

Takie wrażenie można odnieść czytając „Lato Joanny” Małgorzaty Cichalewskiej, jej debiutancką powieść dla młodzieży. Nie brak tu starej chaty na odludziu, wypełnionej regionalnymi gratami „z duszą”, zmurszałych płotów czy potężnych drzew „posadzonych po obu stronach szosy nie wiedzieć kiedy – może jeszcze za Niemców”. Owe wszechobecne czary potrafi dostrzec jedynie Joanna – bohaterka powieści, mająca w głowie szum drzew i jezior. Autorka kreuje w ten sposób postać młodej dziewczyny, której stosunek do rodzinnego, cichego Jagielkowa rodzi jednak u wnikliwego czytelnika całkiem odmienne uczucia. Z każdą stroną książki daje się ona poznać jako pełna kompleksów prowincjuszka z wielkomięską manierą. Brak też w jej postawie konsekwencji.

Maleńka, mazurska wieś ukazana została tu jako ostoja prostactwa, nieokresania i patologii. Dorosła już, choć najwyraźniej nie-dojrzała jeszcze, bohaterka z dużą łatwością pozwala sobie na krytykę mieszkańców – a to, że piją, kradną, zachodzą w ciąży jedna za drugą, że wierzą w przesady czy zaglądną do cudzych ogródków. Na tym tle Joanna przeżywa również konflikt z matką – bo jak taka wrażliwa, wykształcona i delikatna osoba może odnaleźć się w tak pospolitym otoczeniu... Wydawałoby się, że zasługuje na współczucie, a jednak nie jest jej tu źle. W pamiętniku notuje: „Tu jestem po prostu inna. Może nawet trochę lepsza”. Joanna nie budzi tym samym sympatii, szczególnie, że na wieś powraca po porażce na studiach. Swoją słaby charakter potwierdza obarczając „wszystkich świętych” odpowiedzialnością za popełnione błędy, zaś wygodnym wewnętrznym pretekstem córki marnotrawnej staje się jakże dziś modne zmęczenie pośpiechem stolicy.

Jako że nosi w sobie liczne kompleksy, leczy je nie tylko przeglądając się w jagielkowskim lustrze, ale również w oczach Tomasza – obytego w świecie warszawiaka, dla którego Mazury to piękne odludzie, samotnia cenna, jednak pełna analfabetów i wiejskich dziewcząt biegających na dyskoteki w niestosownie krótkich spódniczkach. Świadomie zachowywany dystans do mieszkańców wsi pozwala Joannie pielęgnować własną odmierność i jednocześnie trwać w dziecięcym oburzeniu, dlaczego świat nie kocha jej takiej, jaka jest. A jest raczej kapryśną nastolatką, nie zaś młodą kobie-



tą, która powinna rozumieć, że świat nie bywa czarno-biały. Gdyby była dojrzała, dostrzegłaby piękno mazurskiej wsi w jej duszy, a nie tylko malowniczym krajobrazie.

Mimo to „Lato Joanny” jest książką z niemałym potencjałem – odnajdziemy w niej wiele ciekawych problemów, również tych rzadziej występujących w literaturze młodzieżowej: zarówno konflikt pokoleń i tęsknotę za zmarłym ojcem, czy zmaganie się z własnymi ambicjami, jak i niewiarę w siebie, wyobcowanie i samotność. Dominującym z założenia ma być temat rodzącego się uczucia młodej dziewczyny do dojrzałego mężczyzny. Małgorzata Cichalewska choć stara się w wiarygodny sposób konstruować złożony, wielowarstwowy, pełen emocji świat, jednak nie unika banałów. Chociażby postać Tomasza trąci tanim romansem – ów mężczyzna niemal bez wad, jedynie popijając „herbatę z odrobiną zachodu słońca”, dokonuje w bohaterce niewiarygodnej przemiany.

Powieść, choć przyjemnie lekka i wakacyjna, ze względu na mnogość poruszonych problemów, wymusza konieczność ich rozwiązania. Od dobrej literatury dla młodych czytelników oczekujemy bowiem wyraźnych wskazówek, potwierdzenia, że warto podejmować wysiłek, by sprostać wyzwaniom. W powieści Cichalewskiej problemy rozwiązują się jednak same – matka nagle zaczyna rozumieć córkę, nowe studia nie wywołują już paniki, pojawia się dobra praca, odżywają dawne, wiejskie przyjaźnie, no i oczywiście rozkwita zakazana miłość. Na próżno w tej historii szukać świadomego działania bohaterki, rzetelnej dyskusji z trudną rzeczywistością. Działa jedynie czar miejsca i czasu.

„Lato Joanny” mimo to niesie odrobinę optymizmu. Przekonuje, że z porażek zawsze można się podnieść, niezbędna jest tylko wiara w siebie. Obraz przepłynięcia jeziora – zarówno tego rzeczywistego, jak i wewnętrznej głębi obaw – to największy walor tej książki. Paradoksalnie autorka słowa otuchy i moc odczarowania lęków przypisuje człowiekowi, który sam szuka azylu, ucieka w mazurską samotnię, by przemyśleć i pouklądać na nowo swoje życie. I choć wakacyjne związki nie są idealne do czerpania siły, by pokonywać trudności w życiu, bywają jednak nieocenione, gdy wszyscy inni już w nas zwątpią. □

Cichalewska, Małgorzata: Lato Joanny / Małgorzata Cichalewska. - Warszawa : Telbit, cop. 2006. - 134 s. ; 20 cm. - ISBN 83-88109-82-0



## Magdalena Żółtowska-Sikora

### O Mazurkach męskim piórem

*Karty zapisane przez Mazurów w XIX i na początku XX wieku pozwalają dziś ożyć dawno zapomnianym postaciom. Mówią one o sobie i sąsiadach, niegdysiejszych konfliktach i dawno przebrzmiałych nadziejach. Mazurki przemówiły własnym głosem dopiero na początku XX stulecia. W społeczności patriarchalnej, w której to „ojciec domowy” miał monopol na organizowanie życia intelektualnego rodziny, trudno było kobietom wśród nadmiaru prac znaleźć czas na kaligrafowanie rymów i posyłanie ich wydawcom domowych kalendarzy czy lokalnej prasy. Pozostawało im kultywowanie żywego słowa i przysłuchiwanie się cudzej twórczości, nam zaś pozostaje tropienie ich prywatnych światów poprzez pryzmat męskich narracji. Dawają one świadectwo zgodnego pożycia małżonków i kobiecej wierności, natknąć się można np. na wzmiankę o szczodroliwej wdowie, która poratowała zbożem pogorzela. Galeria prezentowanych postaci kobiecych przedstawia jednak głównie typ kobiety złej i skrzekliwej. Czasem jest to niedbała gospodyni komenderująca mężem, żona cierpiąca niedolę z powodu jego pijaństwa lub wybredna córka gospodarska na wydaniu.*

#### W oparach karczmy

Cnoty zdobiące przyszłą żonę wyluszczył Gerss w utworze „Powieść ciekawa”, wkładając w usta konkurenta takie oto słowa: „Córka wasza umie robić / A tak będzie grunt mój zdobić. / Mocno duża i prędziuchna / W gospodarstwie wciąż chyzuchna”. Gospodyni powinna być robotna, dobrze gotować, nie „srómac się” kądzieli i dobrze zarządzać dziewczkami służebnymi, jeśli takie miała. Ogrom prac przedstawił Jan Donder w poemacie „Jak po wsiach się białki na święta szykują”. Na spokój rodziny dybał jednak szatan-gorzalka. Tak na ten temat pisał w 1868 roku pleban Surmiński z Rozóg: „W tych to domach klótnia i małżeńska niezgoda pewnie panuje, gdzie się mąż na granie w karty i na żarłocstwo udaje, gdyż on się tedy dzikim i nieczułym staje, a ku żonie i dzieciom przychylności traci, którą onej przy ołtarzu przysięgał. A gdy w tej to biedzie żona na męża nie szkaluje, ani go przeklina, ale raczej łagodnym napomnieniem i nabożnymi modlitwami do pobożności nawraca, toć może serce mężowi poruszy, bo i kropla wody z dachu kapiąca wyklepie i w kamieniu dotek”. A gdy i cierpliwość nie pomoże, „to niech Panu Bogu swoją krzywdę przedłoży, a Pan ją nauczy, coby w trwodze swojej uczynić miała”.

Nie brak postaci kobiet toczących cichą wojnę o szczęście rodziny. Gorzej tylko, gdy zabrakło pokory, by sprostać zaleceniom plebana lub gdy żona sama rzucała się w „pijaństwo szalone”. Marcin Gerss



Ceramiki Józefa Borysa <borys.ceramika@vp.pl>

w złośliwych rymach odmalowywał w poemacie „O Malinie, mężu cierpliwym, i o złej żonie jego w Skorupkach pod Rynem i o cudownej odmianie jéy” postać zaniedbującą dom, „toczącą się” późną porą do łoża, która „ma już rozum krótki / bo czasem siurbnie wódkę”. Zachowały się także literackie przekazy mówiące o wspólnym pogrążaniu się małżonków w nałogu. Zgroza przejmowała Luśtycha, kreślącego w poemacie „O przedaniu wsi Cichów pod Oleckiem roku 1842” obraz „żenki” powracającej z mężem „choć o północy, do domu po błocie, / W rozmowach tęgich z karczmy i w ochocie”.

W twórczości Mazurów raczej próżno szukać śladów erotyki. Starano się przecież tworzyć literaturę, a nie gminne przyśpiewki. O sprawach damsko-męskich jeśli już pisano, to z wielkim zawstyżeniem. Krótka wzmianka o miłości fizycznej pomiędzy małżonkami powracającymi wspólnie z szynku i tak napiętnowana jest u Luśtycha grzechem niegospodarności: „A jak z nim przyszła szczęśliwie do domu, / Nieśmiem powiedzieć już o tém nikomu / W jakich rozkoszach oboje bujali / A po maluśku z grunciku zjeżdżali”.

#### W objęciach lubasza

Niektóre mazurskie zapiski to kronika miejscowych wypadków. Dzięki nim dowiadujemy się np., że w roku 1893 w Rogu „córka gospodarza była / Dziecię w polu porodziła, / Prawie, gdy tam bydło paśla, / Lecz w niej miłość wcale zgasta. / Bo je tamój zostawiła. / I do domu się wróciła / A tymczasem psy już były / Ciało dziecka skaleczyły”. „Okrutnicę” uwięziono. Frydryk Pieńkowski opowiada zaś o zabobonnej wdowie z Gierzwałdu, która dała wiarę plotkom o końcu świata, nie ratowała się więc z płonącego domu i „namale co nie zgorzała”. Zakłęte w tekstach trwają także portrety mazurskich awanturnic szukających wielkich namiętności i lepszych perspektyw majątkowych. Auguście Poszdyse ze wsi Maratki znudził się mąż („Ja nie chcę człeka tego / Gospodarza lichego!”), za „lubasza” – kochanka – obrała sobie więc młodego kryminalistę „i zawsze z nim sypiała” planując morderstwo, drwiąc z miejscowe go księdza i zwierchności.

## Kazimierz Brakoniecki Myśli na wynos

### Kobiece wybory

Niektóre utwory wskazują na przemoc wobec kobiet. „Czasem żony bardzo dziwne / Mówią: chłopi im przeciwne”, zapewniając męża leżącego na łożu śmierci, że już nigdy nie wpadną w okowy małżeństwa, decydują się jednak na ponowne zamążpójście — dziwił się Jan Domasz z Mieruniszek. W utworze O wdowach gospodarskich dostrzegł prawidłowość, że drugie piekło małżeńskie okazuje się zwykle gorsze od pierwszego. Gdy pierwszy mąż „był pijany / to się trzymał ręką ściany” i po cichu kładł spać, drugi zaś awanturuje się, a „kiedy obiad nie dogodzi, / Licho z żoną się obchodzi”.

Choć nie brak obrazków wspólnej pracy i portretów mężów oddanych rodzinie, to jednak czasem i najlepszy ojciec się zdenerwuje. O gniewie ojca wobec córki gospodarz Jan Luśtych pisze tak: „Oyculek [...] tak się był zasmucił, / Że Lotkę zgola o ziem co nie rzucił”, tym razem jednak Lotce się upiekło, był to bowiem człowiek „bardzo dobrej woli, / A taki córki swéy nie przyniewoli”.

### Panna strojna

Mazurscy moralisci nie mieli zrozumienia dla starań kobiet o ładny wygląd. Luśtych ostrzegał przed wydawaniem gotówki na strój. Wtórował mu Gotfryd Bendzulla, oburzony, że młode chłopki potrafią prosić z całą bezwzględnością: „przodaj, oycze, krowy twoje, / A kup córce takie stroje!“. Wydawać by się mogło także, że kto jak kto, ale majster krawiecki Zylla powinien zrozumieć kobiety, lecz ten nie zostawia na strojniszach suchej nitki: szokowała go moda początku XX wieku, zwłaszcza, że „nawet już szkolne dziewczaki / noszą myce jak przetaki“. Efekt? „Kto to okiem swoim widzi / bez pochyby aż się zbrzydzi“. Szczególną odrazę wzbudziła w nim podejrzana ozdoba: „A niektóre pyszne córki / Noszą też na szyi skórki / Od robaka czarniuchnego / Na końcu są zęby jego”.

Piszący mężczyźni wiedzieli, że wśród ich czytelniczek są kobiety. Krawiec „powiedziałby jeszcze więcej”, lecz przeląkł się ich „jadowania”, natomiast Jan Donder kończy jeden z poematów tak: „Nieraz kiedy będzie to która czytała, / To może na Dondra będzie narzekala. / Lecz nie narzekajcie, jako chce niech będzie, / A wy bądźcie pilne dalej w swym urzędzie“. Niestety kobiety, tworząc głównie lirykę patriotyczną i religijną, nie odpowiedziały jednak na męskie zarzuty. □

**Pisał, bo nie miał nic do powiedzenia.**

Nowy ustrój jest zawsze lepszy od następnego.

**Na wolnym rynku każdy jest niewolnikiem.**

Ludzkość z natury śmierci jest religijna.

**Chciał powiesić się na orderach, powiesili go na różańcu.**

Rozkład ciała wzmacnia duszę.

**Umysł przechodzi ludzkie pojęcie.**

Złota rączka do zabijania.

**Umarł na manię wielkości.**

Śmierdziało mu ze złotych ust.

**Jaskinia tortur imienia Platona.**

Pochodził z dołów umysłowych.

**Żydzi też mają swoich żydków.**

Wydostał się z raju przez otwór w Ewie.

**Uciekł z miejsca przypadku.**

Nauczył się jadać obcego nożem i widelcem.

**Ludobójstwo w cenie postępu?**

Nóż ostrzył na grobowym kamieniu.

**Demokracja nie dla idiotów.**

Homoseksualizm humanizmem przyszłości?

**Nowe Oświecenie potrzebuje nowego Oświecienia!**

Uderzony na śmierć kamieniem węgielnym.

**I Watykan domagać się może bomby atomowej.**

Zostań szamponem swoich włosów.

**Lustro ma wiele twarzy.**

Całe życie przepracował w reklamie gówna.

**Telewizja miarą wszechrzeczy.**

I logos musi mieć swoje logo.

**Swoją duszę przekazał nauce.**

Epoka Czyngis-chama.

**Zmarł w wyniku zmian ustrojowych.**

Turbanem nie zakryjesz trupiej główki.

**Nawet atom się rozkłada.**

Małe ojczyzny małych ludzi.

**Patrzył w gwiazdy, a nie widział nieba.**

Martwy język w żywej głowie.

**Mózg – pierwszorzędny organ płciowy.**

Karząca ręka rynku.

**Cham na chamie i na chamie cham – chamiec polski.**

Konsumenci zbawienia.

**Pełne kościoły – puste głowy.**

## Katarzyna Kresymon Cuda dawnych mistrzów

*„Wynalazek druku jest największym wydarzeniem w historii. To matka rewolucji. Pod postacią drukowanego słowa myśl ludzka jest bardziej niż kiedykolwiek niezniszczalna; jest lotna, nieuchwytna, wieczna”.*

Wiktor Hugo

Książka jest tak oczywista w swej funkcji przekazywania informacji, że w zawrotnym tempie rozwoju ludzkiej cywilizacji stała się prawie niezauważalna. A przecież to właśnie ona wzbogaca wiedzę człowieka o otaczającym świecie, wpływa na rozwój jego zainteresowań. Dzięki niej stykamy się z kulturą, kształtuje i rozwija wszechstronnie naszą osobowość. A przy tym niejednokrotnie zachwyca swoją urodą.

Po dziesięcioleciach sztuki iluminatorskiej ksiąg rękopiśmiennych, bogato zdobionych opraw i popisów kunsztu introligatorskiego powraca do nas książka wykonana pięknie. Ale by tak mogło się stać, musiały dokonać się rzeczy przełomowe w procesie jej powstawania. Punktem zwrotnym w dziejach książki był XV-wieczny, rewolucyjny wynalazek powielania tekstów za pomocą ruchomych czcionek Gutenberga. Z kolei koniec XVIII wieku przyniósł maszynę papierniczą Ludwika Roberta, pracownika firmy Didotów w Essonne. Wynalazki te dały początek wielkiej rewolucji mechaniki tradycyjnych oficyn drukarskich i objęły wszystkie dziedziny warsztatu: odlewanie czcionek, pracę składaczy, techniki reprodukcyjne czy proces tłoczenia.

W owym postępie naukowym i technicznym przodowały Anglia i Stany Zjednoczone. W późniejszym czasie dołączyły do nich Niemcy i Francja. Na stałe wpisał się wówczas Karol Stanhope, który u progu XIX w. skonstruował prasę żelazną, zaś jedenaście lat później Fryderyk Koning wprowadził prasę pospieszną, drukującą aż 400 arkuszy na godzinę. Z każdą dekadą pojawiały się nowe udoskonalenia: możliwość odciskania w wilgotnym kartonie (Klaudiusz Genaux, 1829), wprowadzenie maszyny rotacyjnej (Richard M. Hoe, 1846), mechaniczne składanie i odlewanie czcionek (Ottmar Mergenthaler, 1886) – wszystko to umożliwiło produkcję książek na masową skalę. Slogan „więcej, szybciej, taniej” trafnie odzwierciedlał ducha ówczesnych czasów. Z jednej strony książka – produkt skomplikowanych procesów poligraficznych, dotąd dostępny jedynie dla elit, obywateli najzamożniejszych – dotarł do prawie każdego domu. Powszechne stało się zakładanie podręcznych bibliotekzek domowych. Z drugiej zaś zmieniona technologia produkcji papieru na skalę przemysłową wymusiła niższe ceny, co przełożyło się bezpośrednio na jego słabszą jakość. Pogorszyło go jeszcze bardziej wprowadzenie nowych surowców (ścier drzewny, celuloza, klej z kalafonii i wodorotlenek sodowy). Papier stał się mniej wytrzymały, zaczął mieć tendencję do żółknięcia i kruszenia się. Dzisiaj określa się go jako „kwaśny papier”, który stanowi największe źródło degradacji cennych kolekcji druków.

Czytając słowa pisane, przemieszczające nas po świecie, w którym myśli i zdarzenia poruszają się w ciszy naszych umysłów, rzadko zwracamy uwagę na ogrom pracy wykonanej przez sztab ludzi składających ufnie jej efekt w nasze dłonie. Potrafimy docenić solidne wykonanie książki, niejednokrotnie urzeka nas jej zapach, cieszymy się jej urodą, ale czy tak naprawdę wiemy, co się na owo piękno składa? Otóż jak w każdej dziedzinie życia czerpiącej z artystycznych wizji twórców również sztuka poligrafii ulegała przejściowym modom. W całej Europie powstawały dzieła o wyjątkowych cechach, które z czasem stanowiły dla kolejnych pokoleń wzory do naśladowania.





Wiek XIX był okresem, kiedy to najchętniej sięgano do stylów historycznych. Dziś książka sprzed ponad stu lat sama może inspirować dzisiejszych wydawców.

To, co dziś zachwyca w dawnych książkach, to ich ciepła barwa i naturalność materiałów, z jakich powstały, misterność zdobiących je detali oraz owe intrygujące elementy, których przeznaczenia prawie nikt już nie zna. A jak powstawały owe cuda? W XIX wieku podstawą do narodzin książki był kodeks, czyli forma bloku papieru, który przygotowywano w sposób niezmienny od lat. Karty układane w tzw. składki, zszywano sznurkiem, taśmą lub za pomocą merty – specjalnej tkaniny o bardzo rzadkim splocie. Z czasem zaczęto wykorzystywać do tego celu drut, a w latach 70-tych pracę ułatwiła specjalna maszyna do szycia syntetycznymi nićmi. Powstająca książka, jeszcze bez okładki, wielokrotnie była ozdabiana. Najczęściej pokrywano górną krawędź zebranych kartek farbą. Z czasem zaczęto zdobić wszystkie trzy krawędzie i to w wielobarwne wzory – tworzone według szablonu, albo marmurki czy nakrapiania. W XIX-wiecznych książkach detalem zdobiącym były również kapitałki, czyli niewielkie fragmenty tkaniny wystające z obu krawędzi grzbietu. Dawniej stanowiły one element wzmacniający, aby z czasem przejąć funkcję wyłącznie estetyczną. Te dyskretne ozdoby zazwyczaj wytwarzano z tkaniny w paski, choć pojawiały się też kapitałki maszynowe, najczęściej dwubarwne – niebiesko- lub zielono-białe.

Grzbiety dawnych książek tak samo różniły się precyzją wykonania i kunsztem introligatorskim od wytwarzanych obecnie – i niczym nie przypominają one dzisiejszych kartoników, które zaledwie przyklejone do kartek nierzadko rozsypują nam się w rękach. Grzbiet XIX-wiecznej książki to efekt solidnej i wieloetapowej pracy. Formowano go na trzy sposoby: płaski, wyokrąglony oraz tzw. wyokrąglony oporkowany. W tym ostatnim odgięte i „rozbite” fragmenty kartek, chowane pod grzbietem, zwiększały wytrzymałość całego połączenia. Co ciekawe – po uformowaniu zaklejano go w całości makulaturą – stąd niejednokrotnie w starych księgach ukryte są fragmenty innych, czasem cennych dokumentów.

Prawdziwe piękno książki, jak widać, to nie tylko interesująca okładka. Jednak to ona jako pierwsza przyciąga uwagę, intryguje, a wykonana odpowiednią techniką pozwala przy tym cieszyć się lekturą w wygodny sposób. Stosowane przed XIX w. oprawy najczęściej „oblekano” w różne, przyjemne w dotyku materiały. Owo obleczenie łączące na sztywno okładkę z blokiem kartek po dłuższym czasie używania jednak pękało, a całość niszczyła się. Zaprzeszono więc bezpośredniego przyklejania oprawy na rzecz specjalnej konstrukcji nazywanej grzbietówką. To rozwiązanie przyniosło ciekawy efekt w budowie książki: grzbiet został „uwolniony” od połączenia z blokiem kartek, choć nadal w trwały sposób spajał z nimi całą okładkę.

Przeciętny użytkownik książek z reguły nie posiada specjalistycznej wiedzy, która pozwoliłaby ocenić, z jakiego okresu pochodzi dany, wiekowy już egzemplarz. Jednak nawet laicy w tej materii zdolni są wyróżnić te cechy, które z całą pewnością nie można nazwać współczesnymi. Należą do nich zdobienia okładek oraz rodzaj stosowanych opraw. Typowe dla XIX w. i bardzo powszechnie stosowane były tzw. półskórki, czyli oprawy, w których grzbiet oraz narożniki oblekano skórą, często pięknie zdobioną złoconymi literami, natomiast pozostałą część skrzydła okładki, nazywaną lustrem, introligator wypełniał barwionym płótnem, rzadziej papierem marmurkowym. Bardzo popularne były wówczas zwykłe płótna, ale stosowano i pokrywane – np. barwną masą skrobiową, lub moletowane tak, by imitowały fakturę skóry. Oszczędną wersją była oprawa w półpłótno, gdzie grzbiet i narożniki oblekano w płótno, zaś lustro wypełniał ozdobny papier marmurkowy. Lubowano się również w aksamitach, które w połączeniu z dekoracją srebrną zdobiły almanachy, albumy czy pamiętniki. W użyciu był też mocny papier czerpany, marmoryzowany lub klajstrowany.

Dopełnieniem pięknej oprawy była wyklejka, czyli arkusz papieru, nierzadko ozdobny (marmurkowy lub galanteryjny), którym wyklejano wewnętrzną stronę okładki na styku z blokiem kartek. W książkach z XIX w. nie spotyka się już jednak wyklejek z jednego arkusza, lecz rozcięte w grzbiecie i połączone płóciennym paskiem. Całość zaś wraz z solidną okładką, mocnym grzbietem oraz rzetelnie przygotowanym blokiem kart stanowiła dzieło sztuki introligatorskiej, które niejednokrotnie już udowodniło, że może bronić się przed bezlitośnie upływającym czasem.

Opisana niewielka część bogactwa i różnorodności warsztatów introligatorskich, drukarskich i oficyn wydawniczych może uzmysłowić wszystkim, którzy biorą książkę do ręki, że ewoluuje ona wraz z nami, odstania tendencje i kierunki, do jakich zmierzamy. A zatem może warto zastanowić się nie tylko nad treścią zapisanego w nich słowa, ale spróbować czytać je także pomiędzy kartkami?... □

Fot. 1, Fot. 2

XIX-wieczne książki ze zbiorów WBP w Olsztynie. Fot. K. Kresymon.





## Krzysztof Worobiec

Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba”



**Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba”, jak możemy przeczytać na stronie internetowej organizacji <http://www.sadyba.free.ngo.pl>, „chce bronić tego, co mazurskie, co zagrożone jest zniszczeniem z powodu ludzkiej niewiedzy, bezymyślności i bardzo często świadomego działania”. Co dokładnie jest przedmiotem ochrony?**

Stowarzyszenie na Rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba” stara się o zachowanie charakterystycznego dla naszego regionu krajobrazu, zarówno

kulturowego, jak i przyrodniczego. Przedmiotem ochrony są wszystkie elementy krajobrazu kulturowego, takie jak układy przestrzenne wsi, zabudowa wiejska, miejska i pałacowa, budownictwo postindustrialne, powojkowe, kolejowe etc., cmentarze i aleje. Ponieważ krajobraz kulturowy nie może być chroniony w oderwaniu od kontekstu, czyli krajobrazu naturalnego, należy także dbać o jego ochronę. Szczególnie zagrożone są brzegi wód śródlądowych oraz miejsca cenne przyrodniczo, położone na obszarach parków krajobrazowych i obszarach chronionego krajobrazu (gdyż to one są poddane największej antropopresji).

**Wyzwania, jakie stawia sobie „Sadyba”, są imponujące. W jaki sposób działa Stowarzyszenie? Jakiego rodzaju akcje są podejmowane? Czy w „morzu” zadań są priorytety?**

Działamy społecznie jako wolontariusze, na koszt własny, postępując się obowiązującym prawem oraz statutem Stowarzyszenia. Wyjątkowo większe projekty (np. wydanie książki „Aleje przydrożne”) finansowane są z pieniędzy pozyskanych z innych źródeł (dotacje i sponsorzy, współpraca z innymi organizacjami pozarządowymi). Naszymi priorytetami są: akcja „Ratujmy Aleje” (głównym celem jest ograniczenie nieuzasadnionych wycinek oraz zmiana obowiązującej ustawy o ochronie przyrody), utworzenie Mazurskiego Parku Narodowego, zachowanie specyfiki kulturowej wsi założonych przez starowierców (utworzenie Starowerskiego Parku Kulturowego), projekt „Zagubione wioski Puszczy Piskiej” (czyli przywrócenie pamięci o wsiach, które po 1945 przestały istnieć) oraz ochrona zagrożonych zniszczeniem zabytków (więcej o naszych działaniach na stronach internetowych).

## Jak ochronić wyjątko zapytaliśmy

**Osoby związane z „Sadybą” działały aktywnie jeszcze przed powołaniem stowarzyszenia i konsekwentnie trwają do dziś. Jednak w tak trudnej pracy potrzebne jest coś więcej niż tylko pasja. Odpowiedzialność, rozsądek, dobra organizacja...? Kim są ludzie zrzeszeni w „Sadybie” – naukowcy, ekolodzy, wolontariusze...?**

Stowarzyszenie to grupa pasjonatów zauroczonych bogactwem zabytków i pięknem przyrody. To ludzie aktywni, przedsiębiorczy i kreatywni, mający różne zawody i wykształcenie, na dodatek mający kontakt z wieloma osobami, co daje możliwość wymiany doświadczeń i poglądów. Wielu członków Sadyby prowadzi działalność związaną z turystyką (prowadzą hotele, restauracje, gospodarstwa agroturystyczne, muzea). To ludzie patrzący krytycznie na działania prowadzące do niekontrolowanych zmian w krajobrazie (jak choćby dewastacja przyrody czy „dzika” urbanizacja), a jednocześnie aktywnie przekształcający przestrzeń wokół siebie (np. tworzący Osadę Kulturową w Kadzidłowie, czy Dwór Łowczego w Gałkowie).

**W ciągu kilkuletniej działalności Stowarzyszenia odbieraliście Państwo wyróżnienia i tytuły za wkład w ochronę przyrody, m.in.: „Wilk Piski” (2005 i 2006), „Przyjazny środowisku Warmii i Mazur” (2006), „Nagroda im. Alfreda Lityńskiego” (2006), „Zielony Liść” (2005 i 2006). Czym są te nagrody? Czy dzięki nim łatwiej realizować kolejne zadania?**

Przyznane nam nagrody i wyróżnienia są dowodem postrzegania naszej działalności oraz uznania, co motywuje do dalszych działań. Jednak nagrody nie pomagają w realizacji kolejnych zadań i szkoda, że za nagrodami nie idzie „instytucjonalne” wsparcie naszych działań – choćby przez tych, którzy te nagrody przyznają (bo często nagrody przyznają ci, którzy swoimi decyzjami lub egzekwowaniem przestrzegania przepisów prawa, np. o ochronie przyrody czy zabytków, mogliby zdziałać więcej i sprawniej niż my).

# wość Warmii i Mazur?

stowarzyszenia regionalne

**W 2004 roku założony został portal internetowy Dom Warmiński (<http://www.domwarminski.pl/>). Był on z założenia częścią programu zainicjowanego przez Starostwo Powiatowe w Olsztynie. Jednym z celów przyświecających projektowi była budowa marki turystycznej Warmii poprzez odnowę i popularyzację tożsamości regionu. Jak zatem doszło do powołania Stowarzyszenia „Dom Warmiński”? Kogo obecnie zrzesza?**

Stowarzyszenie „Dom Warmiński” zostało zawiązane 22 lutego 2006 r. z inicjatywy Starostów Olsztyńskiego, Braniewskiego i Lidzbarskiego. Zrzesza ponadto samorządy z terenu całej Warmii: Urzędy Miasta w Olsztynie i Lidzbarku Warmińskim, Urzędy Gmin w Lubominie, Kiwitach, Stawigudzie, Purdzie i Reszlu, Urząd Miejsko-Wiejski w Ornece, Gminę Miejsko-Wiejską Frombork, a także Muzeum Budownictwa Ludowego w Olsztynku, Wszechnicę Warmińską oraz Restaurację-Kawiarnię „Starówka” w Olsztynie i „Hotel pod Kłobukiem” w Lidzbarku Warmińskim. Powstanie Stowarzyszenia wiąże się jakby z próbą przeniesienia sukcesu portalu na świat rzeczywisty. Portal, który powstał pięć lat temu w ciągu dwóch lat odniósł ogromny sukces, a ponieważ odzew ze strony Warmiaków lub ludzi Warmią zainteresowanych był bardzo duży, podjęto decyzję o utworzeniu Stowarzyszenia i przeniesienia działalności na dwie płaszczyzny wirtualną (internet) i realną.

**Starania organizacji nawiązują do przeszłości ziemi warmińskiej i jej bogatego dziedzictwa historyczno-kulturowego. Pragnie ona zachować krajobraz tego regionu: zarówno przyrodniczy jak i kulturowy. W jaki sposób działa „Dom Warmiński”? Jakiego rodzaju akcje podejmuje?**

Stowarzyszenie obecnie skupia się na tworzeniu projektów o dofinansowanie ze środków unijnych na promocję imprez. Dzięki naszym projektom mniej znane imprezy warmińskie mogą liczyć na promocję. Również odciążamy budżet samorządów przeznaczony na realizację poszczególnych przedsięwzięć w tym zakresie. Natomiast przedsiębiorcy prywatni skupieni na turystyce regionalnej mogą liczyć na większe zainteresowanie turystów. „Dom Warmiński” podejmując swoje działania promuje i odbudowuje tożsamość regionalną mieszkańców Warmii. Równolegle Stowarzyszenie prowadzi działalność gospodarczą i sprzedaje gadżety z popartowym wizerunkiem Mikołaja Kopernika, o którym można było ostatnio usłyszeć w lokalnej prasie i telewizji. Staramy się wszędzie przeniknąć i zaistnieć, aby jeszcze bardziej poszerzyć grono miłośników Warmii, czy nawet członków stowarzyszenia.

**Stowarzyszenie prowadzi również promocję aktywnej turystyki po Warmii, krainie bogatej w nieskażoną przyrodę. Na co przede**

## Radostaw Weryk

Stowarzyszenie „Dom Warmiński”

**wszystkim odwiedzający powinni zwrócić uwagę: na przyrodę, zabytki, a może na wyjątkowy styl warmiński?**

Warmia jest bogata we wszelkiego rodzaju atrakcje, które warto zobaczyć, przeżyć. Przyciąga ludzi swoją wyjątkową przyrodą. Na Warmii jest wiele gospodarstw agroturystycznych, gdzie każdy może się zaszyć z dala od wielkomiejskiego życia, jest wiele idealnych miejsc na wyciszenie i wypoczynek. Miłośnicy historii praktycznie w każdej, nawet mniejszej miejscowości znajdują zabytek godny uwagi. Zaczynając od zamków, pałacyków po kapliczki przydrożne, jako charakterystyczny krajobraz architektury stylu warmińskiego. Wielbiciele podróży pieszych lub rowerowych będą zadowoleni z różnorodności szlaków. Każdy znajdzie tu coś dla siebie i może poczuć się wyjątkowo, bo Warmia jest wyjątkowa.

**„Przyjaciół Warmii” to nagroda przyznawana przez „Dom Warmiński” tym, którzy swym działaniem wnoszą wkład w rozwój Warmii, kształtują tożsamość regionalną jej mieszkańców oraz przyczyniają się do gospodarczego, turystycznego i kulturalnego rozwoju naszego regionu. A co Stowarzyszenie uważa za swój największy sukces?**

Ustanowiony przez „Dom Warmiński” tytuł co roku wręczany jest osobom bądź instytucjom za doniesie dokonania naukowe, kulturalne, organizatorskie w obszarze ochrony dziedzictwa i rewitalizacji krajobrazu kulturowego Warmii, a także zasłużonym w rozwijaniu regionalnej gospodarki turystycznej. Każdy może wziąć w nim udział, a więcej informacji można znaleźć na naszej stronie internetowej. Natomiast sukces stowarzyszenia to na pewno zdobycie zaufania ludzi oraz przychylności społeczeństwa. Większość ludzi mieszkających na terenie Warmii zdaje sobie sprawę z potencjału turystycznego, jaki tu panuje, ale nie wiedzą, jak to wykorzystać. Stowarzyszenie dąży do tego, aby Warmia była Warmią, ale również, żeby każdy mógł to zobaczyć, poczuć się jej częścią. Jeśli uda nam się to osiągnąć, będzie to największy sukces, jaki można odnieść na polu, na którym działa „Dom Warmiński”. □

Rozmawiała Anita Romulewicz



„Kapliczka w Uniszewie” – pastel Aleksandra Wołosa

## Joanna Piotrowska Z Ratyzbony do Olsztyna

W naszym myśleniu, odziedziczonym po XIX-wiecznym, kontradakademickim buncie artystycznym, wzmocnionym przez wszystkie swobody wieku XX, dzieło sztuki jest zbyt często kojarzone ze swobodną kreacją, wyrazem indywidualizmu twórcy, manifestem jego osobowości, przekonań, znajdującego ujście talentu. Tymczasem historia sztuki jest w znakomitej swej większości historią ścisłej współpracy i zależności artysty od zleceniodawcy, w której obie strony były świadome swoich atutów – twórca biegłości warsztatowej, artyzmu, całościowej wizji dzieła, zleceniodawca – intencji powstania dzieła



Fot. J. Piotrowska.

i finansowania całości przedsięwzięcia. Zawierane kontrakty opisywały szczegółowo warunki, jakie miały dotrzymać obie strony. W przypadku powstawania dzieł sztuki przeznaczonych do wnętrza kościelnych równie ważne jak zapewnienie poziomu artystycznego było również zapisanie w dziele plastycznym mniej lub bardziej skomplikowanych treści teologicznych. Nad całością wykonania czuwał więc często duchowny, wykształcony teolog, który akcentował czy aprobował pewne treści zawarte w przedstawieniach.

Te uwagi sprawdzają się nie tylko na podręcznikowym poziomie ogólnym, ale przede wszystkim w licznych konkretnych realizacjach. W schemacie tej reguły mieści się m.in. wybrany z najbliższego otoczenia przykład – ołtarz główny w kościele św. Józefa na olsztyńskim Zatorzu. Dzieło bez szacownej metryki wieków, bo ukończone najprawdopodobniej tuż po roku 1919, a jednak mieszczące się w tradycji relacji wykonawca-zleceniodawca, wzmocnionej teologicznym „nadzorem” intelektualnym. Ustalenia dotyczące miejsca, daty i warunków realizacji nastawy ołtarza głównego w kościele św. Józefa podaje, na podstawie badań archiwalnych, Olimpia Konopiewska (karty inwentaryzacyjne ołtarza i jego części składowych przechowywane są w archiwum Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie). Otóż zanim doszło do realizacji nastawy ołtarzowej przez specjalistyczną firmę w Ratyzbonie, program przedstawień został ustalony z miejscowym duchownym z kurii diecezjalnej. Dzięki tej specjalistycznej opiece kapłana-teologa wszystkie przedstawienia nastawy ołtarzowej, co podkreśla autorka, tworzą treściwą całość.

Można dodać w dużym skrócie, że całość skoncentrowaną na dwóch zasadniczych wątkach: na ofierze krzyżowej Chrystusa, która jest uobecnianą na ołtarzu jako centralny punkt każdej z mszy, oraz na postaci patrona kościoła – św. Józefa. Całość kompozycji wieńczy scena Ukrzyżowania, a więc ofiary, która powtarza się w czasie przeistoczenia chleba i wina dokonywanego przez kapłana. Pod nim znajdujemy symbol Chrystusa Zmartwychwstałego – baranka, spoczywającego tutaj na zapieczętowanej księdze, znanej z Apokalipsy św. Jana. Do ofiary eucharystycznej nawiązują dwa rzeźbione przedstawienia po obu stronach tzw. tronu eucharystycznego. Po lewej jest to Łamanie chleba w Emaus (czy raczej, zważywszy na obecność kielicha i wspomniane połączenia treściowe, Ostatnia Wieczerza, podczas której Chrystus zapowiedział ofiarę krzyża?); po prawej – Ofiara Melchizedeka (Rdz 14,17-18), starotestamentowa scena, w której Melchizedek wita Abrahama chlebem i winem, i którą odczytywano właśnie jako zapowiedź Ostatniej Wieczerzy. Przedstawienia na krańcach-skrzydłach ołtarza, a więc „odsunięte” od centralnych treści, pokazują sceny z życia św. Józefa – po lewej Zaślubiny z Marią, po prawej – śmierć opiekuna Chrystusa. Po zamknięciu skrzydeł widać sceny uzupełniające wątek pasyjny – Modlitwę w Ogrójcu i Oplakiwanie pod krzyżem. Nie bez znaczenia jest miejsce wykonania ołtarza – Ratyzbona w południowych Niemczech była już w czasach średniowiecza środowiskiem, gdzie szeroko stosowano i ilustrowano zestawienia typologiczne, a więc odnajdujące starotestamentowe zapowiedzi dla wydarzeń historii zbawczej.

Powyższy opis jest zaledwie zachętą do osobistej analizy tego wyjątkowego ołtarza – będzie czynność absorbująca i satysfakcjonująca – pełne odczytanie dzieł sztuki sakralnej bowiem wymaga nie tylko oceny estetycznej, ale i kultury biblijnej i liturgicznej – elementów nie tyle konfesyjnych, co nieodzownych składników wykształcenia humanistycznego. □

Arno Holz

## Phantásus (1898) wybór wierszy

w przekładzie Krzysztofa Szatrawskiego

*Arno Holz (1863-1929), urodzony w Rastenburgu (Kętrzynie) poeta i dramaturg, teoretyk literatury, twórca naturalizmu, prekursor impresjonizmu i ekspresjonizmu. W rodzinnym mieście spędził tylko dzieciństwo (w 1875 r. rodzina przeniósła się do Berlina), jednak w dojrzałej twórczości, zwłaszcza w swym najważniejszym cyklu poetyckim Phantásus (z. I 1998, z. II 1999), często powracał do wspomnień z tego okresu. Prezentowane wiersze pochodzą z pierwszego zeszytu tego cyklu.*

26 października przypada osiemdziesiąta rocznica śmierci poety.

### Daleko jest kraj!

W ciemne noce  
smutno szumiały tam dęby.  
Miękkie płatki okrywały mój grób.  
Piękna, zielona, miękka trawa.  
W niej leżę.  
W środku pomiędzy kaczeńcami!

Nade mną,  
ciepło,  
niebo:  
odległa, rozedrgana biel,  
która mi oczy powoli, całkiem powoli  
zamyka.

Powiew wiatru... delikatne brzęczenie.

Teraz jestem odległy  
od każdego światła,  
łagodna czerwień wypełnia mnie całkiem,  
i czuję wyraźnie,  
jak słońce przepływa w mojej krwi -  
minuta po minucie.

Wszystko tonie. Tylko jeszcze ja.

Błogo.

\*\*\*

Przed moim oknem  
śpiewa ptak.

Stucham w milczeniu; moje serce zamiera.

Śpiewa o wszystkim,  
co miałem jako dziecko,  
a potem - zapomniałem.

\*\*\*

Przez Friedrichstrasse  
- latarnie palą się jeszcze połową blasku,  
świta już mętny zimowy poranek -  
wracam do domu.

Obraz powoli staje przed oczami.

Zielona równina łąki,  
śmiejące się wiosną niebo,  
biały zamek z białymi nimfami.

Przed tym ogromny kasztanowiec,  
który czerwone świece kwiatów  
odbija w spokojnej wodzie!

\*\*\*

W ogrodzie  
pod ciemnym drzewem  
oczekujemy wiosennej nocy.

Nie rozbłyła jeszcze żadna z gwiazd.

Zza okna,  
narastają,  
dźwięki skrzypiec...

Złotokap lśni,  
pachnie bez,  
w naszych sercach wschodzi księżyc!



„Kapliczka w Starej Kalenie” – pastel Aleksandra Wolosa



o o e z i a



Robert Kuriata

## NIEMENOWY JEDNOGŁOS

Czesław Niemen (1939-2004) był bezsprzecznie ikoną polskiej muzyki rozrywkowej. Kreował nowe style w muzyce, szukał różnych sposobów wyrażania siebie w sztuce (nie tylko muzycznej, ale i poetyckiej oraz w malarstwie), był natchnieniem dla innych artystów, głównie młodszego pokolenia.

W tym roku minęła 70-ta rocznica jego urodzin, w związku z czym 1 sierpnia obchodzono w Olsztynie Dzień Niemena i w amfiteatrze (*nota bene* noszącym jego imię) zaprezentowała się Martyna Jakubowicz, Harlem, Natalia Niemen i Marek Bałata. W ramach ogólnopolskich obchodów 23 sierpnia, w drugim dniu Sopot Festiwal '2009, odbył się koncert, podczas którego piosenki Czesława Niemena zaśpiewali m.in. Maryla Rodowicz, Kayah, Kasia Kowalska, Maria Peszek, Piotr Cugowski, Stanisław Soyka, Ewa Bem, Gaba Kulka i Zbigniew Wodecki. Prócz najbardziej popularnych utworów artysty („Wspomnienie”, „Pod papugami” czy „Sen o Warszawie”) można było usłyszeć też te mniej znane, jak choćby „Jolotschki” czy „Ptaszek” do słów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Osobiście twórczość Niemena znałem z „Płonącej stodoły”, monumentalnego „Bema pamięci żałobnego Rapsodu”, niezapomnianego „Wspomnienia” czy zawsze wywołującego ciarki na moim grzbiecie utworu „Dziwny jest ten świat”, a przecież jego dzieła to nie kilka piosenek tylko kilkanaście płyt... Nigdy bym nie przypuszczał, że po śmierci Niemena moja przygoda z jego twórczością dopiero się zaczyna. W drugą rocznicę śmierci artysty teatr muzyczny RAMPA na warszawskim Targówku wystawił spektakl muzyczny „NIEMEN” w reżyserii Grzegorza Mrówczyńskiego. W jego realizacji wziął udział znany polski pianista jazzowy Artur Dutkiewicz, znakomity Kielecki Teatr Tańca (z choreografią Elżbiety Szlufik-Pańtak i Grzegorza Pańtaka) oraz olsztyński Zespół Wokalny PRO FORMA (pod dyrekcją Marcina Wawruka), w którym jednym z głosów był mój bas. Sześć utworów w wykonaniu Pro Formy, które weszły do spektaklu, zapoczątkowały pomysł na płytę „Niemen a cappella”. Finalnie znalazło się na niej dwanaście piosenek (w aranżacji Marcina Wawruka) – od mało znanej „Pieśni wojów” przez „Wspomnienie” czy „Nim przyjdzie wiosna” – do utworów z ostatniej płyty ar-

tysty „Spodchmurykapelusza”, z której pochodzi cytat będący epitafium na nagrobku Niemena: „I nie żał nic. I żał tak wiele”.

Kto z nas nie potrafi zanuć „Mimozami jesień się zaczyna (...)”? Może wstyd się przyznać, ale ja nie potrafię. Nie potrafię, mimo iż ten utwór śpiewałem dziesiątki razy, na wielu koncertach. Wiem, że brzmi to trochę absurdalnie, ale to fakt. Rzadko się bowiem zdarza, by w zespole wokalnym bas śpiewał główną linię melodyczną. Najczęściej tę niewątpliwą przyjemność mają sopran lub tenor. Basy, a ja wraz z nimi, najczęściej śpiewają linię harmoniczną (np. w „Bema pamięci...”, przez prawie połowę utworu, są to dwa dźwięki, na dolnej granicy skali głosu) lub motyw melorytmiczny (np. w „Mów do mnie jeszcze” śpiewane prawie przez cały utwór cztery dźwięki, na czterech słowach „Mów do mnie, mów”). Nie przeczę, zdarza się, że jako bas mam swoje pięć minut (np. w „Obok nas”), czy nawet gram pierwsze skrzypce (np. w „Pieśni wojów”), jednak w większości utworów jestem tylko jednym dźwiękiem w palecie harmonii akordów. Ale czy Niemen, lub jakiegokolwiek inny artysta, brzmiałby w pełni, gdyby śpiewał solo, bez towarzyszenia instrumentów czy innych głosów? Prawdopodobnie nie. Nie jestem solistą. Śpiewam w zespole jeden z czterech, sześciu czy ośmiu głosów. Może mój głos jest tylko podstawą harmoniczną lub motywem melorytmicznym, ale czy bez wyśpiewania każdego z przeznaczonych dla mnie dźwięków utwór brzmiałby w pełni? Czy brzmiałby tak, jak napisał go kompozytor lub obmyślił autor aranżacji? Raczej nie.

Mój pojedynczy głos, jak i głos każdego innego członka zespołu wokalnego, dopiero w połączeniu z innymi daje pełną harmonię. To również dzięki niemu utwory z naszej, jak na razie jedynej, płyty pokazały twórczość Niemena w nowej odsłonie, która – jak świadczą recenzje – spotkała się z uznaniem nie tylko w Olsztynie, ale również w całej Polsce. □



Płytę „Niemen a cappella” można wypożyczyć w dziale muzycznym Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie na ulicy 1 Maja 5 (gdzie pracuje i służy autografem autor tekstu).

Zespół Pro Forma podczas spektaklu „Niemen”. Fot. Jarosław Poliwo

# Recital organowy w Barczewie



Krzysztof D. Szatravski



RECENZJA

Japońska organistka Hiroko Inoue należy do młodego pokolenia wirtuozów i jak wielu młodych artystów, którzy w ostatnich latach zdobywają uznanie, łączy wszechstronność techniczną z artystyczną elastycznością. Specjalizacja nie jest już postawą cenioną, zamiast niej natomiast coraz częściej pojawia się dążenie do swoiście pojmowanego pluralizmu artystycznego i wielokulturowości. Może to być świadectwo nasilającego się trendu, a może jest to po prostu przywilej młodości. Manifestacją owego podejścia stał się recital organowy 19 lipca w kościele Św. Anny w Barczewie. Program recitalu ułożony został w taki sposób, aby znalazły się w nim utwory barokowe i współczesne, dzieła kompozytorów z różnych państw i kręgów kulturowych – od państw Europy zachodniej i środkowej, poprzez Rosję, po Japonię. Jeśli do tego dodamy, że rosyjski kompozytor to urodzony w Uzbekistanie Georgij Mushel, otrzymamy program imponujący rozmachem i zróżnicowany pod względem kulturowym. W drukowanym programie znalazły się również Koncert a-moll Vivaldiego-Bacha oraz dzieła Francka i Guilmanta, zostały one jednak wycofane ze względu na lichej stan instrumentu w kościele Św. Anny.

Zmodyfikowany program nie piął się zatem wymagań, które mogłyby przekraczać możliwości instrumentu. Mimo to nie zabrakło miejsc, gdzie instrument brzmiał fatalnie pod względem intonacji, nie wspominając o barwie. Dobrze broniły się kompozycje barokowe, Toccata C-dur Bohuslava Mateja Cernohorskyego, Fuga C-dur Dietricha Buxtehudego oraz Aria prima Johanna Pachelbela. Precyzyjne frazowanie i lekka artykulacja stały się fundamentem zrównoważonych interpretacji utworów. Cechy te sprawiły, że w wielu fragmentach o złym stanie instrumentu można było zapomnieć. Hiroko Inoue równie dobrze czuje się w repertuarze barokowym i romantycznym, jak klasycznym czy współczesnym. Charakterystyczną lekkość frazy w utworach klasycyzujących przeciwstawia świadomie kontrolowanemu emocjonalizmowi kompozycji barokowych i odważnie dozowanej ekspresji w muzyce romantycznej.

Muzyka współczesna zaprezentowana została w szerszym wyborze, jednak artystka wybrała kompozycje, które nadal pozostawały w kręgu klasycznych form i romantycznej melodyjności – odwołujące się do wzorów barokowych Aria i Toccata z Suity organowej wspomnianego już Georgija Mushela, kantylenowa, w opracowaniu nawiązująca do ulubionych przez minimalistów figuracji Spring sea współczesnego kompozytora japońskiego Michio Miyagi oraz najbardziej klasyczna z nich Sonata Patrika Loranego.

Fantazja polska Feliksa Nowowiejskiego nie była wyłącznie ukłonem wobec miejsca pochodzenia wielkiego kompozytora, który po upływie stulecia znów zaczyna być wyżej ceniony w świecie niż we własnym kraju. Fantazja programowa nawiązująca do świąt Bożego Narodzenia, zwyczajów i związanej z nimi oprawy muzycznej to utwór, którego interpretacja wymaga szczególnej wrażliwości oraz zrozumienia intencji kompozytora. Artystka potraktowała Fantazję z pewną dozą interpretacyjnej swobody, co jednak okazało się całkiem szczęśliwym rozstrzygnięciem. Przy okazji warto zauważyć, że mimo zdecydowanie słabej kondycji instrumentu, zarówno skalą brzmienia jak i barwą doskonale wpisuje się w akustykę gotyckiej świątyni i gdyby organy z kościoła Św. Anny poddać renowacji, mogłyby one stać się bardzo dobrą bazą dla wykonań muzyki Nowowiejskiego. Hiroko Inoue ma w repertuarze więcej utworów warmińskiego kompozytora, a nawet trwają już rozmowy na temat jej przyszłych koncertów w naszym kraju.

Niezwykle bywają losy sztuki. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że im większa wartość dzieła, tym trudniej przewidzieć, jaki los je spotka. Muzyka Feliksa Nowowiejskiego, w pierwszej połowie XX wieku znana i ceniona na całym świecie, później niemal zupełnie zapomniana lub dotkliwie lekceważona, obecnie powraca do repertuaru coraz szerszej grupy artystów i do powszechnej świadomości. I jest w tym niewątpliwie zasługa polskich animatorów i organizatorów życia muzycznego, wśród których znaczące miejsce zajmuje grono osób skupione wokół barczewskiego Międzynarodowego Festiwalu Chóralnego im. Feliksa Nowowiejskiego. Poszerzenie prezentacji konkursowych o koncerty muzyki symfonicznej, kameralnej i organowej wydaje się naturalnym kierunkiem rozwoju tej ważnej i potrzebnej imprezy. Renowacja historycznego instrumentu w kościele Św. Anny mogłaby się przyczynić do dalszego ożywienia życia koncertowego w Barczewie również w dziedzinie muzyki organowej. □



„Kapliczka w Barczewie” – pastel Aleksandra Wajosa

①

# Znajdź różnicę

②